Dodatek do „Gazety Lwowskiej“.

PRZEWODNIK

NAUKOWY I LITERACKI

Rok XXXVI.

Tom XXXVI. — Zeszyt VII. Lipiec — 1908.

Odpowiedzialny redaktor: Adam Krechowiecki.

WE LWOWIE.
Nakładem wydawnictwa „Gazety Lwowskiej“.
Z drukarni Wł. Łozińskiego.
(Zarządca J. Niedopad).
1908.

Treść zeszytu.

Reforma Izby Panów.

(Dokończenie).

Wszystkie dalej sięgające projekta reformy Izby Panów pozostały jednak na papierze, a skończyło się na tem, że rząd wniósł projekt ustawy, na mocy której dożywotni lub dziedziczni członkowie Izby Panów mogą odtąd przyjmować mandaty do Izby posłów, z równoczesnem zawieszeniem ich funkcyi w Izbie Panów na cały czas trwania mandatu poselskiego, tudzież że Izba Panów z własnej inicyatywy wymogła na rządzie zgodzenie się na taką zmianę jej ustroju, iżby odtąd liczba dożywotnich członków Izby Panów musiała zawsze wynosić najmniej 150 a najwięcej 170 (t. zw. *numerus clausus*). Projekt dotyczący został przyjęty przez obie Izby, sankcyonowany i ogłoszony jako ustawa z 26. stycznia 1907 r. Nr. 16. d. p. p. Co do cyfry, żądano początkowo minimum 160, maximum 180. W literaturze politycznej proponowano i inne cyfry; n. p. Rauter[1]) żąda najwyżej 70 członków, ale w związku ze znanem nam już zupełnem przeobrażeniem Izby Panów na swój sposób. Pozostawia jednak okres przejściowy, aż do czasu, w którymby ilość dzisiejszych dożywotnich członków spadła, wskutek wymarcia, na 70. Aż do tego czasu nie mogłaby Korona mianować żadnego nowego dożywotniego członka. Liczba dziedzicznych

[1]) Das neue Herrenhaus, j. w., str. 24.

członków Izby Panów nie została jednak i teraz zalimitowana, nie zachodziła tego żadna potrzeba. Gdyby się atoli okazać miało, że mianuje się zbyt wielu członków dziedzicznych, aby zrobić w ten sposób miejsce na nowych członków dożywotnich, nie przestrzegając przytem dość ściśle przepisanych konstytucyą warunków dziedziczności, natenczas trzebaby położyć tej tendencyi tamę przez stworzenie numerus clausus i dla członków dziedzicznych, względnie przez oznaczenie liczby członków Izby Panów wogóle, albo też ściślejsze określenie ustawowych warunków dziedziczności.

Zarazem odrzuciło plenum Izby Panów wszelkie proponowane mu zmiany tego brzmienia projektu reformy ustawy wyborczej, jakie przyjęła Izba posłów; w szczególności odrzuciło wprowadzenie wielokrotności głosowania, czyli systemu pluralnego, pomimo że mu to proponowała własna komisya dla reformy wyborczej, jakkolwiek w brzmieniu ograniczonem jedynie do pluralności opartej na wyższym wieku.[1])

Obie powyższe zmiany, aczkolwiek odnoszą się tylko do szczegółów i nie mogą być pojmowane jako „reforma" w większym stylu, uważam za bardzo odpowiednie i uzasadnione i dlatego też, a zgodnie z opinią całego ówczesnego „Koła Polskiego" przemawiałem za niemi w Izbie poselskiej.[2]) Co do pierwszej, to sam fakt, iż obecnie czterej członkowie Izby Panów, t. j. dwaj dziedziczni, ks. Auersperg i ks. Lubomirski, i dwaj dożywotni, dr. Biliński i dr. Wittek skorzystali z danej możności i weszli do Izby posłów, dowodzi, że myśl była trafną. Nie jest też oryginalną, bo n. p. i lordowie angielscy i magnaci węgierscy często

---

[1]) Dr. R. Springer: Das gleiche Stimmrecht und das Herrenhaus (Oesterreichische Rundschau, December 1906) stara się dowieść, że było politycznym i patryotycznym obowiązkiem Izby Panów, odrzucić wszelkie próby wprowadzenia pluralności. Również wspomniany wyżej prof. T. Gomperz, członek Izby Panów, wystąpił z ostrą krytyką pluralności nawet w tem ograniczonem brzmieniu, jakie proponowała Izba Panów, t. j. z odrzuceniem dodatkowych głosów z tytułu wyższego stopnia wykształcenia lub pewnej wykazanej zamożności, a z dodaniem drugiego głosu tylko z powodu wieku wyższego ponad 35 lat. Prawda, że uczynił to już po odrzuceniu pluralności przez Izbę Panów. Patrz artykuł Gomperza: „Das mehrfache Stimmrecht der Aelteren" w „Neue freie Presse" z 23. grudnia 1906.

[2]) Patrz Stenographische Protokolle des Abgeordnetenhauses. XVII. Session. 470 Sitzung vom 10. Jänner 1907, s. 41.370—41.373.

czynią to samo. Dla polityków czynnych, mających i chęć i zdolność odegrania roli wybitnej, często kierującej, było dotychczas powołanie do Izby Panów rodzajem politycznej emerytury, przeniesienia w polityczny stan spoczynku: — i przyjęcie tego powołania połączone było z ryzykiem, że się go w danym razie będzie żałowało, po niewczasie. Często bowiem zdarzało się a przynajmniej zdarzać mogło, że ktoś zniechęcił się do życia politycznego czy to z powodu zmienionej sytuacyi i utrudnionych przez to warunków działania, czy też z motywów ściśle osobistych, i wtedy przyjmował powołanie do Izby Panów, a tem samem już raz na zawsze wyrzekał się możności piastowania mandatu poselskiego. Tymczasem później mijały nieraz trudności, z jakiemi poprzednio ten polityk miał do walczenia, niekorzystne warunki, wśród których działał, zmieniały się na korzystne, położenie polityczne, poprzednio może odstraszające, stawało się więcej nęcącem, mijało więc i zniechęcenie, i ów polityk przekonywał się, że miałby obecnie znów możność odegrania pewnej roli i wywierania pewnego wpływu, i chciałby do intenzywniejszego działania powrócić, tymczasem miał już ręce związane i drogę zamkniętą. Obecnie zaś nikt nie będzie potrzebował się obawiać, ażeby powołanie go do Izby Panów miało stanowić kres jego karyery politycznej, a więc każdy powołany może to powołanie przyjąć, o ile mu ono dogadza, mając z drugiej strony pozostawioną sobie możność ubiegania się każdej chwili napowrót o mandat poselski. Z tego powodu można też będzie teraz łatwiej znaleźć zawsze potrzebną ilość odpowiednich osobistości do Izby Panów, aniżeli dotychczas.

O dziedzicznych członkach Izby Panów można znów powiedzieć, że ci z pomiędzy nich, którzy czuli w sobie i chęć do pracy i zdolność polityczną i ambicyę, uważać to musieli dla siebie za *privilegium odiosum,* że bez własnej winy, a przez sam fakt urodzenia w rzekomo uprzywilejowanej rodzinie, wykluczeni byli ustawowo od odegrania takiej roli politycznej, jaka im się uśmiechała. To też powitali oni obecną zmianę pewno z zadowoleniem.

Jakkolwiek jednak dożywotni członkowie, którzy przyjęli mandat poselski, nie zasiadają przez ten czas w Izbie Panów, to jednak o ile chodzi o obliczanie minimalnej i maksymalnej liczby dożywotnich członków tejże Izby ze względu na numerus clausus, są oni zaliczani ciągle do członków Izby Panów, (wedle wyraźnego oświadczenia prezydenta ministrów br. Becka, złożonego w odpowiedzi na moje zapytanie), albowiem mogą każdej chwili mandat poselski złożyć i *co ipso* do Izby Panów powrócić. To nas

prowadzi do drugiej zmiany, t. j. do kwestyi numerus clausus wogóle.

Powiedzieliśmy już wyżej, że było wielką wadą dzisiejszego ustroju Izby Panów, że liczba jej członków wogóle, a zwłaszcza liczba członków dożywotnich była aż do r. 1907 nieograniczoną, a więc zależną od dyskrecyonalnego uznania rządu i Korony. Dawniejsze konstytucye austryackie wolne były od tej wady.

Wedle projektu centralnego wydziału stanowego z r. 1848[1]) składać się miała pierwsza Izba ze ściśle określonej ilości członków, mianowicie 200 wybranych, 50 mianowanych przez Koronę, synów Cesarza i ich synów. Wprawdzie pierwsza konstytucya z 25. kwietnia 1848 nie oznacza ogólnej cyfry członków Senatu, (chociaż oznacza ilość członków wybieranych) i wprawdzie w tym Senacie mieli zasiadać także członkowie, mianowani od wypadku do wypadku, na wzór dzisiejszych dożywotnich, ale już Kromieryski projekt konstytucyi z r. 1849 oznacza dokładnie ogólną cyfrę członków Izby Wyższej, nazwanej tam „Izbą krajów“, albowiem postanawia w §. 99, że ta Izba ma się składać z członków wybranych po sześciu przez każdy Sejm krajowy, tudzież po jednemu przez każdy sejmik obwodowy każdego kraju, który się składa z najmniej dwóch obwodów. Tak samo konstytucya Ołomuniecca z 4. marca 1849 r. orzeka w §. 40, że Izba wyższa ma liczyć połowę liczby członków Izby poselskiej, liczba zaś tych ostatnich była ściśle oznaczoną. W żadnej zaś z obu wyżej omawianych Izb wyższych nie miała zasiadać żadna kategorya członków, podobna do dzisiejszych dziedzicznych.

Wykluczenie elementu wyborczego od tworzenia Izby wyższej jest także specyalnością dopiero dzisiejszej konstytucyi austryackiej. Albowiem wedle projektu ułożonego przez ministra spraw wewnętrznych i delegatów Stanów krajowych z Austryi górnej i dolnej, Salzburga, Styryi, Morawii, Śląska, Karyntyi i Krainy (z każdego kraju po jednym) d. 13. kwietnia 1848 r. we Wiedniu, tudzież wedle projektu centralnego Wydziału Stanowego tychże krajów, obradującego od 10.—17. kwietnia 1848 r. we Wiedniu pod przewodnictwem marszałka Stanów Austryi dolnej, ks. Montecuccoli, miała pierwsza czyli wyższa Izba Stanów państwowych opierać się przedewszystkiem na wielkiej posiadłości ziemskiej, która wejść miała we wszystkich krajach

[1]) O którym zaraz niżej.

w prawa pierwszych trzech Stanów (prałatów, magnatów i szlachty) i była powołana wybierać dwustu członków Izby Wyższej.[1]) i to nie koniecznie ze swego własnego grona. A mianowicie 20 delegatów do pierwszej Izby miała wybierać Dolna Austrya, 15 Górna Austrya, 20 Styrya, 15 Karyntya i Kraina, 20 Tyrol, 5 Pobrzeże (Istrya, Gorycya-Gradyska, okręg Tryestu), 5 Dalmacya, 35 Morawia, Śląsk, Księstwa Oświęcim i Zator oddzielone od Galicyi, a wreszcie 65 Czechy. — Ani Galicya, ani Węgry, ani Lombardo-Wenecya nie miały być do Stanów państwowych, a więc i do Izby pierwszej dopuszczone.[2])

---

[1]) Patrz Hugelmann: Studien zum oesterreichischen Verfassungsrechte I. Die oesterreichische Reichsvertretung. Wien Manz 1886. str. 1—15.

[2]) Wedle pierwotnego projektu z 13. kwietnia 1848 miała cała pierwsza Izba składać się z członków należących tam a) na mocy urodzenia, b) na mocy posiadania rozległych dóbr ziemskich, c) na mocy nominacyi, d) na mocy wyboru. Projekt ten ogłoszony w dzienniku „Die neue Zeit", redagowanym przez dr. Siegfrieda Bechera i Seidlitza, tudzież osobno u L. Grunda w Wiedniu, Hundsthurm, Schlossgebäude Nr. 1.

Wedle projektu referenta centralnego wydziału stanowego, Kleylego, miała być Izba pierwsza złożoną: z a) dwustu członków, wybranych z własnego grona przez prałatów, panów i szlachtę na podstawie pewnego cenzusu podatków bezpośrednich, opłacanych w różnej wysokości w różnych krajach. Powyższą cyfrę członków rozdziela się pomiędzy poszczególne prowincye stosownie do ich wielkości i do przychodu z produktywnej ziemi; b) z pięćdziesięciu członków mianowanych przez Cesarza z grona powyższych wyborców, c) Z synów Cesarza i ich synów. Wedle tegoż projektu miały być Węgry, Lombardo-Wenecya i Galicya zupełnie wykluczone z parlamentu państwowego, a więc i z tej Izby i połączone z austryackimi krajami dziedzicznymi tylko przez osobę monarchy; na posiedzeniach pełnego Wydziału centralnego nie rozstrzygnięto jednak tej kwestyi co do Galicyi stanowczo, pozostawiając ją na razie w zawieszeniu, natomiast zgodzono się zupełnie na projektowane wydzielenie Węgier i Lombardo-Wenecyi. Chciano bowiem skonsolidować za pomocą parlamentu tylko kraje t. zw. dziedziczne, tudzież należące kiedyś do związku niemieckiego i dlatego dołączono do nich Oświęcim i Zator, oddzielając je od Galicyi.

Cały projekt Kleylego wydrukowany osobno in 4-to dużego formatu, str. 10, bez podania drukarni ani nakładcy, jako oficyalny druk stanowy. Patrz o tem także B. Łoziński: Epilog Stanów galicyjskich; abdykacya Stanów (Biblioteka Warszawska 1901); tenże: Galicyjski Sejm stanowy 1817—1845; Lwów 1905; St. Starzyński: Kodeks prawa politycznego czyli austryackie ustawy konstytucyjne

Wedle pierwszej konstytucyi z 25. kwietnia 1848, dzieła ministra Pillersdorffa, miało zasiadać w Senacie 150 członków, wybranych przez najzamożniejszych właścicieli dóbr ziemskich z ich grona (§. 35).

Wedle projektu Kromieryskiego z r. 1849 miała cała Izba wyższa powstawać jedynie i wyłącznie w drodze wyboru. Z protokołów obrad komisyi konstytucyjnej tego Sejmu, wydanych przez Antoniego Springera[1]) dowiadujemy się wielu ciekawych w tej mierze szczegółów, między innymi, że Ziemiałkowski i Rieger oświadczyli się wtedy zgodnie za Radą Państwa jednoizbową w postaci „Izby krajów“,[2]) wybieranej przez Sejmy.

Również wedle konstytucyi Ołomunieckiej z 4. marca 1849 miała cała Izba Wyższa powstawać jedynie i wyłącznie w drodze wyboru. Brak czynników wybranych mścił się na Izbie Panów jeszcze za czasów kuryalnego parlamentu, gdyż, jak słusznie zauważał Wieser, już wtenczas Izba posłów uważała się za jedyną prawdziwą reprezentacyę ludu i usuwała polityczny wpływ Izby Panów na dalszy plan:[3]) o ileż więcej będzie się on mścił teraz, kiedy Izba posłów spoczywa na najszerszej demokratycznej podstawie powszechnego głosowania.

Niewiele też jest na świecie innych Izb Wyższych, przy których tworzeniu wybór nie gra żadnej roli: wymieniliśmy je szczegółowo przed laty w książce poświęconej prawu wyborczemu.[4]) Od tego czasu i ta mała ilość zeszczuplała. N. p. w Wurttembergii wedle nowej ustawy z 16. lipca 1906 wchodzi obecnie do pierwszej Izby ośmiu członków szlachty, posiadającej dobra rycerskie, wybieranych przez immatrykulowanych posiadaczy takich dóbr.

1848—1903; Lwów 1903, str. 3, 4 i 19; tenże: Kilka słów o Stanach galicyjskich (Kwartalnik historyczny 1906); tenże: O pierwszej konstytucyi austryackiej; jej geneza i ocena. Kraków 1889.

[1]) Springer: Protokolle des Verfassungsausschusses im oesterreichischen Reichstage 1848—1849; Leipzig, Hirzel 1885, str. 135—137.

[2]) Obszernie zajmuje się tem dr. Michał Rostworowski: Austryacka Izba Panów (Przegląd prawa i administracyi 1899, str. 909—919).

[3]) Dr. Friedrich Freiherr von Wieser: Ueber Vergangenheit und Zukunft der oesterreichischen Verfassung. Wien 1905 bei Konegen, s. 99.

[4]) Studya z zakresu prawa wyborczego, Lwów 1897, rozdział V. p. t. „Uwzględnienie elementu wyborczego przy tworzeniu Izb wyższych“, str. 82—93. Były to wtedy: Anglia, Węgry, Włochy, Portugalia, Bawarya, Württembergia.

z własnego grona: dwóch ewangelickich generalnych superintendentów, wybieranych przez zjazd superintendentów, zastępca ordynaryatu biskupiego, wybierany przez ordynaryat z własnego grona, dziekan katolicki wybierany przez zjazd dziekanów, wreszcie dwóch zastępców handlu i przemysłu, dwóch zastępców gospodarstwa wiejskiego (rolnictwa) i jeden zastępca rzemiosła; ci ostatni wprawdzie mianowani przez króla, ale na propozycye dotyczących korporacyi zawodowych, obejmujące po dwóch kandydatów na każde miejsce (art. 3. §§. 132, 132a i 132b ust.). W dawnej zaś „Izbie Panów Stanowych“ Württemberskiej nie było żadnego członka wybranego. Nie zawadzi dodać, że wszyscy ci nowi członkowie Izby wyższej przeniesieni tu zostali z Izby niższej, w której dotąd zasiadali na podstawie kuryalnych wyborów; przeniesienie nastąpiło celem umożliwienia wprowadzenia powszechnego głosowania do Izby niższej, co się też na mocy tej samej ustawy stało. Pisaliśmy o tem obszernie na innem miejscu.[1]) W W. X. Badeńskiem wedle dawniejszej ustawy zasiadało w pierwszej Izbie tylko 8 wybranych członków szlachty i 2 wybrańców Uniwersytetów: obecnie wedle nowej ustawy z 24. sierpnia 1904 przybył i wybraniec Akademii politechnicznej w Stuttgardzie, przybyło sześciu wybrańców korporacyi zawodowych, a mianowicie trzech wybieranych przez Izby handlowe, dwóch wybieranych przez Izby rolnicze i jeden wybierany przez Izby rękodzielnicze; następnie weszło do pierwszej Izby dwóch nadburmistrzów miast, wybieranych przez miasta podlegające ordynacyi miejskiej, mianowicie przez ich Rady miejskie i Rady gminne; jeden burmistrz innych miast, liczących przeszło 3.000 mieszkańców, wybierany również przez Rady miejskie i rady gminne tych miast; wreszcie jeden członek jednego z Wydziałów obwodowych, wybierany przez zgromadzenie wszystkich członków Wydziałów obwodowych z całego kraju. Sposobu ich wyboru, skreślonego szczegółowo w ustawie, powtarzać nie będziemy.

Nieuwzględnianie autonomicznego stanowiska krajów koronnych i staranne unikanie wszystkiego, coby Izbie Panów mogło nadać choćby w części charakter „Izby krajów“ (Länderkammer), jest także właściwością dopiero dzisiejszej konstytucyi austryackiej

[1]) Patrz moje: Studya konstytucyjne, tom pierwszy j. w. str. 144—163 i str. 195—199.

i wyróżnia ją niekorzystnie od jej poprzedniczek z pierwszej epoki, z doby tworzenia się konstytucyonalizmu austryackiego.

Wedle projektu centralnego Wydziału Stanowego z r. 1848 nie było wprawdzie mowy o wyborze jakichkolwiek członków pierwszej Izby przez jakiekolwiek reprezentacye krajowe, i odrzucono zasadniczo myśl oparcia reprezentacyi państwa czy to na dawnych, czy na zreformowanych Stanach krajowych, ale mimo to ustalono wyraźnie, jak widzieliśmy, dla każdego kraju ilość Senatorów, których ten kraj miał wybrać. Tak samo wedle pierwszej konstytucyi z 25. kwietnia 1848 miał każdy kraj koronny z góry zagwarantowaną ilość swych przedstawicieli w Senacie: na Galicyę przypadało ich czterdziestu, na okręg krakowski jeden, na Czechy 37, na Morawię 15, na Austryę dolną 13, na Austryę wyższą 6, na Śląsk 4, na Salzburg 1, na Styryę 9, na Karyntyę 3, na Krainę 4, na Pobrzeże 4, na Dalmacyę 3, na Tyrol 6, na Vorarlberg 1, na Bukowinę 3.[1])

Wedle projektu Kromieryskiego z 1849 r., całą Izbę Wyższą miały wybierać Sejmy krajowe i sejmiki obwodowe, a mianowicie każdy Sejm miał wybierać sześciu jej członków, każdy zaś Sejmik obwodowy (w krajach składających się z dwóch lub więcej obwodów) po jednemu. Izba Wyższa miała też nosić nazwę „Izby krajów". Również cała Izba Wyższa przewidziana w konstytucyi Ołomunieckiej 1849 miała powstawać w drodze wyboru, dokonywanego przez S e j m y k r a j o w e. Każdy Sejm krajowy miał wysłać do niej po dwóch swych członków, a oprócz tego taką jeszcze ilość delegatów wziętych ewentualnie z poza własnego grona, ilu było potrzeba, ażeby uzupełnić cyfrę delegatów, przypadającą na ten kraj koronny, a równającą się p o ł o w i e ilości posłów do Izby niższej, przez ten kraj wybieranych.

Nie miała jednak ta Izba nosić już miana „Izby krajów", lecz zwać się miała po prostu „Izbą Wyższą".

Dopiero ustawa o reprezentacyi państwa z 26. lutego 1861, a następnie jej przeróbka z 21. grudnia 1867 r. dokonały zwrotu w kierunku centralistycznym i nadały Izbie Panów wszelkie pozory ciała niemającego nic wspólnego z autonomią i samodzielnem życiem krajów koronnych: wycisnęły na niej piętno unifikacyjnych dążności, po doktrynersku pojmowanych. Aby ten wła-

[1]) Patrz §. 2. prowizorycznej ordynacyi wyborczej z 25. kwietnia 1848 przedrukowanej w moim „Kodeksie prawa politycznego". Lwów 1903, str. 19—29.

śnie szablon centralistyczny zachować, odrzuca Rauter l. c. stanowczo wszelką myśl odtworzenia dziś „Izby krajów“, dowodząc, że wtedy wytworzyłoby się zaraz w Izbie Panów stronnictwo autonomistyczne, dążące wprost do ubezwładnienia centralnego parlamentu i wykazania jego zupełnej niezdolności do pracy *(sic)*. Taki wybór części lub całej Izby Panów przez Sejmy, wobec wybierania Izby poselskiej przez głosowanie powszechne, czyniłby zadość nawet wymaganiom tych, którzy, jak np. August Cieszkowski, niechętni są wogóle tworzeniu Izby Panów w drodze wyboru;[1]) albowiem zachodziłyby tu warunki, wśród których nawet i Cieszkowski godzi się na wybór, t. j. oparcie tego wyboru na zupełnie innych podstawach i zasadach, aniżeli te, na których spoczywa wybór do Izby poselskiej. Jest to zresztą warunek, który ze względu na cel i na ideę systemu dwuizbowego rozumie się sam przez się.

Z konstytucyi innych państw europejskich mają również wszystkie Izby Wyższe numerum clausum, z wyjątkiem włoskiego Senatu (konstytucya z r. 1848) i pruskiej Izby Panów (konstytucya z r. 1850). Wątpić jednak należy, jak powiedziałem już w parlamencie, czy właśnie Prusy mogą służyć dziś komukolwiek za wzór urządzeń konstytucyjnych.

We Francyi mamy limitowaną cyfrę 300 senatorów wybieranych, w Niederlandach 50 senatorów wybieranych, w Belgii wyraźnie ograniczoną ilość tak senatorów wybieranych wprost przez ludność, jak i wybieranych przez Rady prowincyonalne; w Anglii nie mianuje się już od wieków żadnego członka dożywotniego, na Węgrzech może Korona mianować rocznie najwyżej 5 dożywotnich członków Izby Magnatów; również konstytucya hiszpańska, portugalska, dawna bawarska, saska, würtembergska, badeńska zarówno dawna jak i nowa z 24. sierpnia 1904, heska i t. d. zawierają podobne ograniczenia.[2])

Numerus clausus pojmowany był w sferach Izby poselskiej rozmaicie; jedni widzieli w nim obniżenie wpływu Izby poselskiej, drudzy znów jego wzmocnienie. Ja należałem do tych ostatnich.

---

[1]) L. c. str. 13—24, „principe electif“. — Również M. Rostworowski: Austryacka Izba Panów l. c. 1900, str. 49, oświadcza się stanowczo za tem, powołując się na moje „Studya z zakresu prawa wyborczego“.

[2]) Patrz szczegółowe cyfry w mojej książce: Studya z zakresu prawa wyborczego, j. w. str. 82—93.

i dlatego za numerus clausus przemawiałem. Jakkolwiek bowiem nie da się zaprzeczyć, że przy n. cl. nie może rząd odtąd ratować żadnej pożytecznej uchwały Izby poselskiej w Izbie Panów za pomocą zamianowania w razie potrzeby nowych jej członków, zobowiązujących się z góry do głosowania za zagrożonym projektem, to jednak z drugiej strony trzeba przyznać, że również nie może rząd odtąd zrobić z Izby Panów gilotyny dla niemiłych sobie przedłożeń przez zamianowanie *ad hoc* nowych członków dla obalenia pewnego przedłożenia. Że zaś wypadki pierwszego rodzaju zdarzają się daleko rzadziej, aniżeli wypadki drugiej kategoryi, przeto należy stwierdzić, że n. cl. jakkolwiek będący bronią obosieczną, daleko częściej jednak uchwały Izby posłów ratuje i broni ich, aniżeli im szkodę przynosi, a więc utrwala on i wzmacnia wpływ poselskiej Izby. Ze stanowiska samej Izby Panów zaś jest on tylko pożyteczny. Najpierw bowiem, nie przystoi wybitnym mężom i politykom dawać się powoływać do Izby Panów jedynie dlatego, by mieli tam być dla pewnego projektu rządowego „przyprzążką“ lub dla pewnej uchwały Izby posłów „gilotyną“, (jak ich w żargonie parlamentarnych kuloarów w ostatnich czasach nazywano). Oni powinni być powoływani do Izby Panów li ze względu na swą wartość wewnętrzną, a nie *ad hoc* w chwilach ambarasownych dla rządu. Następnie dopiero od chwili wykluczenia nominacyi *ad hoc*, mogących przechylać szalę uchwał Izby w ostatniej chwili, stosownie do potrzeby, na tę lub ową stronę, odzyskała Izba Panów naprawdę swą niezależność, stała się panią swej woli, panią swych uchwał, może ułożyć sobie pewien program politycznego postępowania i może liczyć na to, że go wykona i że go dotrzymać będzie mogła, gdyż dopiero teraz jest ona zabezpieczona przed niespodziankami, mogącemi w ostatniej godzinie jej skład a więc i jej wolę zmienić. Dopiero teraz stała się Izba Panów na prawdę samodzielną. Num. cl. przyniósł więc prawdziwą korzyść połowie parlamentu, t. j. jednej jego Izbie, a wskutek tego przyniósł prawdziwą korzyść i parlamentaryzmowi jako takiemu. To zaś wystarcza nam zupełnie, aby się za numerus clausus oświadczyć.[1])

Ale numerus clausus i udzielenie członkom Izby Panów prawa wybieralności do Izby poselskiej nie są jeszcze same przez się reformą Izby Panów; one stanowią tylko jej cząstkę, wzglę-

---

[1]) Działalności austryackiej Izby Panów wystawia Al. Rembowski l. c. str. 34—5 pochlebne świadectwo.

dnie jej surogat. Do reformy takiej, jaką pragnęlibyśmy widzieć i jaką uważamy za jedynie stosowną, należy przedewszystkiem stworzenie nowej kategoryi członków Izby Panów, t. j. jej członków wybieralnych, z czem łączyćby się musiała powolna redukcya członków dożywotnio mianowanych przez Koronę. Pozostawiając oczywiście na razie wszystkich dzisiejszych parów w ich prawach, należałoby ustanowić pewną skalę redukcyjną, tak, ażeby numerus clausus obniżał się cyfrowo co parę lat, w miarę równoczesnego wymierania dożywotnich parów, ażeby redukcya zatrzymała się dopiero u pewnej granicy, n. p. 50—70, i ażeby wcale nie mianowano nowych członków dożywotnich, dopóki ich cyfra nie spadnie poniżej tej granicy. Prawo wybierania członków wybieralnych należałoby poruczyć Sejmom krajowym, tudzież niektórym najpoważniejszym korporacyom prawno-publicznym, przedewszystkiem Uniwersytetom. Następnie należałoby uzupełnić w drodze ustawy pojęcie osób zasłużonych około „państwa" i z tego tytułu powoływanych dożywotnio do Izby Panów, i rozszerzyć je w ten sposób, że przez zasługi położone dla państwa, rozumie się nie tylko zasługi biurokratyczne albo nawet parlamentarne, nie tylko zasługi mężów stanu i wojskowych, ale także i zasługi, położone bezpośrednio dla dobra społeczeństwa żyjącego w granicach państwa, zasługi na polu ekonomicznem, na polu wynalazków, w dziedzinie oświaty, zasługi działaczy społecznych w kierunku humanitarnym, kulturalnym i t. p. Należałoby więc zapewnić powoływanie członków Izby Panów także i z tych sfer, dodając przynajmniej do tych czterech wyrazów „państwo, kościół, umiejętność, sztuka", które służą dziś wedle §. 5. ustawy zasadniczej do określenia zasług uprawniających do dożywotniego krzesła w Izbie Panów, piąty wyraz: „społeczeństwo". — W ogólnym zarysie domagałem się tego w mej mowie wypowiedzianej dn. 10. stycznia 1907 r. w Izbie poselskiej przy sposobności obrad nad ostatnią „reformą" Izby Panów.[1])

Stanisław Starzyński.

---

[1]) Patrz Stenographische Protokolle des Abgeordnetenhauses, XVII. Session, str. 41 370, Sitzung 470.

Żywot polityczny Michała Grabowskiego.

(Ciąg dalszy).

Po śmierci Konstantego Świdzińskiego, głównem miejscem zebrań literacko-naukowych stały się otwarte dla wszystkich gościnne salony Grabowskich.

Z młodych pierwszy zaczął tutaj bywać dr. Rudnicki, ztąd i wielka sympatya, jaką go zaszczycał nasz krytyk. Ze starszych, prócz wymienionych już dawniej, często odwiedzali pana Michała: Włodzimierz hr. Plater, honorowy kurator gimnazyum żytomierskiego i autor ciekawych pamiętników; nieoceniony erudyt i koncepciarz, człowiek niezwykłego wykształcenia, Aleksander Weryha Darowski; Zygmunt hr. Wielopolski, ks. biskup Kasper Borowski, Edward Rulikowski, ba nawet Józef Ignacy Kraszewski, który pierwszy wyciągnął dłoń do zgody.

„Dla młodzieży — trafnie mówi Rudnicki — była to niewątpliwie szkoła, w której się mogła ona uczyć, jak się ma zapatrywać na najważniejsze sprawy swego społeczeństwa, rozjaśniać i gruntować swoje własne poglądy na rozmaite zagadnienia, wreszcie powiększać zasób swoich wiadomości, nie połkniętych *in crudo*, ale poważną i kompetentną krytyką oczyszczonych i rozjaśnionych. Co więcej — przebywanie w gronie najświatlejszych i najuczeńszych ludzi w kraju, dawało możność oznajomienia się z rzeczami, o których niejeden nigdy nigdzie nie miał zręczności

słyszeć, pragnienie zaś wcielenia się do tego grona rodziło zamiłowanie do nauki i światła..."

Nie wszyscy jednak koledzy Rudnickiego byli tego samego zdania: światek studencki kijowski rozpadał się na przerozmaite frakcye i kółka polityczne a radykalniejsze z nich, gorętsze, krzywem bardzo okiem obserwowały powolny powrót „wyklętego" do wpływów i znaczenia, urażone zwłaszcza tem, że on w swych salonach chętnie przyjmował Rossyan, a wszelkie zapały młodzieży, przedewszystkiem modne podówczas chłopomaństwo, zawzięcie oblewał zimną wodą. Zapatrywania Grabowskiego na system szerzenia oświaty, nie mogły również jednać dlań licznych zwolenników. Wszak wiedziano o tem aż nadto dobrze, że doskonały krytyk był stanowczym przeciwnikiem ułatwiania młodzieży bez żadnego wyboru wyższych studyów. „Stypendya i zasiłki niech pobierają jedynie prawdziwie zdolni: reszta winna się zwracać do szkół fachowych: przemysłowych, handlowych i rzemieślniczych, byśmy wreszcie mieli dobrych polskich kupców, szewców, krawców i stolarzy" — oto jego program, rozumny — przyznajemy chętnie, ale dla mniej zdolnych a ambitnych bynajmniej nie ponętny. „Po co on, nie proszony ani nie wzywany pakuje się gwałtem na naszego opiekuna!" rozlegały się coraz częściej wołania, a pewnego poranku zjawił się nad bramą domu autora *„Literatury i Krytyki"* olbrzymi szyld z przykrym dlań napisem: „Szkoła kosmopolityczna Michała Grabowskiego i Spółki".

Nawet wstawiennictwo Grabowskiego u władz podczas awantury młodzieży akademickiej z pułkownikiem Brinkenem w teatrze — co pociągnęło za sobą liczne aresztowania i długie śledztwo — nie poprawiło zbytnio wzajemnego stosunku: nie pozyskał on również miru w tych kołach, zdobywając dla Uniwersytetu wykłady z literatury polskiej, odwołane w ostatniej chwili już nie z winy Grabowskiego.[1])

* * *

W maju 1859 roku zetknął się z biednym apostołem realnej pracy w wytworzonych zrządzeniem losu warunkach, p. Andrzej

---

[1]) Wszystkie szczegóły według zapisków i notat dr. Rudnickiego. Wykładom przeszkodziła obałamucona i rozpolitykowana młodzież uniwersytecka.

Leszczyc Grabianka. Rozmowa przeciągnęła się późno w noc: poruszono w ciągu niej wiele tematów ważnych i poważnych; wreszcie dotknięto i programu, złożonego przed kilkunastu laty na ręce Pisarewa, jak również listu do Strutyńskiego.

Zestawmy razem dwie pamiętne w życiu naszego krytyka daty 1843 i 1859 roku, a otrzymamy punkty graniczne czyśćcowej drogi, którą po cierniach przebyć musiał nieszczęśliwy Michał Grabowski. Zbyt rychło przekonał się on, że krok jego był fałszywy i najłagodniej sądząc — przedwczesny, nadto raniący serce podnieconego ostatnimi wypadkami i rozegzaltowanego nad zwykłą miarę społeczeństwa polskiego. Niedawni jeszcze towarzysze pracy odsunęli się od niego, tych zaś, co mu mimo wszystko dochowali przyjaźni, odrzuciły losy zbyt daleko. Osamotniony, zbliżył się do małoruskich literatów... i powoli opuściły go złudzenia.[1])

Ale powróćmy do spotkania z Grabianką, wynikiem jego bowiem była spowiedź Grabowskiego, rehabilitująca tego męczennika idei w oczach wszystkich nieuprzedzonych, bezstronnych, choćby najostrzejszych, sędziów. Oto na drugi dzień po pamiętnej rozmowie, skreślił pan Andrzej Grabianka, najwidoczniej bezpośrednio pod jej wrażeniem, następującą notatkę:[2])

„Naród, który miał wielką i świetną historyę, gdy istnieć przestaje w politycznym względzie, przyczyn upadku szukać w jego wewnętrznym bycie należy. Zwątlona wiara, zanik obyczajów, zamiłowanie obczyzny a pogarda tego co własne — oto są zwykle główne przyczyny śmierci politycznej. One przejadają, niszczą siły żywotne narodu, nastaje rozprzężenie, każdy rządzi się fantazyą, egoistycznym spoglądem, o zjednoczeniu nikt nie myśli, bo zjednoczenie się jest tylko skutkiem wiary. Naród rozdarty na tyle cząstek, ile jest indywiduów prawie — upaść koniecznie musi.

„Taki był stan opłakany Polski, gdy z tej wewnętrznej niemocy ościenne państwa po raz pierwszy skorzystały. Trzy spokojnie odbyte podziały Polski, były potwierdzeniem tejże niemocy. Powstanie Kościuszki było jękiem znudzonego życiem rycerza. Odtąd stracono wiarę we własne siły: garstka szlachetna usiłowała wzbudzić sympatyę ludów, lecz te sławne legiony, te pułki

---

[1]) Dr. Antoni J. j. w. str. 43.

[2]) Z papierów ś. p. Andrzeja Grabianki. Czy przytoczony przez nas dokument przeznaczył autor jego dla któregoś z pism, czy pragnął on tylko, co było zdaje się jego zwyczajem, spisać „na gorąco“ treść rozmowy z Grabowskim — nie umiemy tego wyjaśnić.

z pod Samosierry, te wszystkie usiłowania, by zainteresować obcych losem Polski, okazały się płonne w swych skutkach. Jeszcze raz Polska zbudziła się z letargu, pola Grochowskie zagrzmiały hukiem dział — i znowu po tych dniach jasnego słońca nadziei, nastała ciemna i straszna noc dla nas.

„Wówczas kraj wpadł w apatyę: za granicami Polski wychodźcy, uniósłszy z sobą żywą miłość Ojczyzny, chronili śród obcych ten ogień narodowych uczuć, ale życie ich i oddziaływania na kraj nasz były w samej swej pozycyi zanadto gorączkowe, a więc niepraktyczne; w prowincyach polskich apatya, oddanie się materyalnym uciechom życia, stowarzyszenia rozpustne, nałogi, nadużycia i gdzieniegdzie tylko promyk umysłowości — oto stan kraju po trzydziestym roku.

„W takiem położeniu, kto zachował serce polskie, w kim umysł zdolny był oderwać się od plugawego upadku, ten szukał zbawienia narodowości. Błąkał się po ścieżkach a każda była ciernistą. Jedni widzieli ratunek w rozpaczliwych wybuchach; inni wpatrując się w głąb przeszłości, ważąc niemoc kraju i potęgę wroga, rzucili się, by z nawalnicy, która nas zgruchotała, ocalić przynajmniej święte pamiątki, by przechować dla potomności nieskalaną ojców wiarę, pozostawić synom język ojczysty w jedynym po nich spadku. Zdawało się im, że jedyną usługą w sprawie krajowej będzie zjednoczyć te promyki gdzieniegdzie opodal od siebie błyszczące, nabrać siły i nie mogąc walczyć, by zabić wroga — walczyć, by podnieść wroga. Podnieść bowiem wroga było to zapewnić sobie wpływ i przewagę, a z nią zapewnić istnienie tych drogich cząstek narodowości, które po za obrębem politycznej niezależnej egzystencyi, mogłyby jeszcze przy życiu nasz naród utrzymać.

„Rola ta przeznaczona była literaturze. Jakoż potężni nauką i zdolnościami wzięli się do tej mozolnej i w ich przekonaniu jedynej narodowej pracy. Odrębnie, bez żadnej zmowy lub wspólnictwa, poczęli pracować: Michał Grabowski, Rzewuski, Przecławski, Hołowiński: rozpoczęli oni swą misyę, a ten z nich, któremu Bóg najwięcej potęgi nadał, najsilniej z nich działał. Umysł jego krytyczny, najżywiej ocenił położenie kraju, najżywsze też wlał mu o niemocy kraju przekonanie, a ztąd przekonanie, że kojarząc się z wrogiem, by ocalić choć część narodowości, najlepiej służyć będzie chorągwi narodowej — wyszedł naprzód, popychając myśl swoją wszystkimi środkami, w czystości swych dążeń.

„Tymczasem ocucał się cały kraj polski z letargu: to ocucenie przejawiając się, pociągnęło za sobą ofiary. Płynęła krew w Wilnie, sterczały szubienice w Królestwie i w Kijowie, a Sybir i Kaukaz zaludniły się polskimi obywatelami. Wtedy Litwa tęskniła za przeszłością przez historyę. Królestwo odurzało się przez powiastki i komedyjki, Poznań przez filozofię, Galicya śpiewała z ludem pieśni gminne.

„Wówczas odznacza się na tle umysłowości krajowej Józef Ignacy Kraszewski. Umysł jego wybujał, cel jego coraz się jaśniejszym stawał. Zdolności jego ogromne, olbrzymia praca, głęboka nauka, umiłowanie szczere kraju, cechowały jego znakomicie. Chciał on zespolić szlachtę z ludem prostym, podnieść go, siły narodowe przez to w stokroć powiększyć i sprawie wspólnie z ludem, a więc potężnie służyć. Zespolenia się z wrogami nie przypuszczał. Stworzył literaturę ludową, otrząsł serca z nienawiści lub pogardy dla ludu, rozbudził żywą do niego sympatyę i że zrozumiał potrzebę kraju, dowodem tego jest poszukiwanie dzieł jego i wziętość prócz sławy, którą pozyskał.

„Opinia coraz jaśniej się wyrażała. Byle co w tych dążnościach się pojawiło, było czytane; nawet gwiaździarze[1]) kijowscy, prawie wszyscy najmarniejszemi zdolnościami obdarzeni, mieli swój czas wziętości. Niektórych zdolnych a wielu małej nawet wartości pisarzy przyjęła publiczność sympatycznie, skoro dostrzeżono w nich tylko dążność i cel ekskluzywności narodowej.

„W tym przeciągu czasu praca współzapaśników Michała Grabowskiego marniała: ów tchórząc przed rozbudzającą się z letargu opinią, opuścił go: inny zanadto swe imię skompromitowawszy, nie mógł wywrzeć żadnego wpływu a Hołowińskiego Bóg wezwał do siebie. I tak pozostał w arenie jeden Michał Grabowski: długo jeszcze walczył sam jeden w pośród przyjaciół, którzy go opuścili, wśród coraz silniej przebudzającej się przeciwnej mu opinii, nareszcie śród ogólnego potępienia — nieustraszony

---

[1]) Gwiaździarze, to kółko młodych literatów, wrogo usposobionych dla Grabowskiego, a gromadzących się około wydawnictwa peryodycznego p. t. „Gwiazda". Rej wodzili w niem Jurkiewicz (Dołęga), Jaxa Marcinkowski (Nowosielski), Fisz (Fisch) i inni. Wszelkie plotki o spowodowaniu przez Grabowskiego lub ks. Hołowińskiego zawieszenia Gwiazdy, nie wytrzymują rzeczowej krytyki.

niczem, nie nęcony żadnymi osobistymi widokami, jedynie z przekonania, że łącząc się z wrogiem, salwuje tę część narodowej sprawy, którą salwować można.

„Ale walka ta, przyjęta w teoryi — została teoryą. Aby podnieść kogo do swojej wysokości, trzeba w nim egzystencyi tych zarodków, które rozwinąć chcemy, które zrównać z naszym dyapazonem pragniemy. Trzydzieści lat walki nie zdołało wywrzeć żadnego wpływu ani na rząd, ani na literaturę, pod względem uznania naszej narodowości. Praktyka i zbliżenie się do Rossyan przekonały tylko, że naród ten pierwej został zepsuty nim dojrzał. Droga obrana dla ocalenia naszej narodowości, nie doprowadziła do żadnego skutku. Zawiązek najpotężniejszych umysłów bez wiary w polityczną egzystencyę kraju, rozprzągł się i zmarniał. Najznakomitszy z nich, Michał Grabowski, przewyższywszy świeżością i potęgą umysłu swych dawnych kolegów — sam stanął na tem przekonaniu, że droga, którą wybrał, była mylna — a błąd swój uznając, staje się sam w oczach każdego prawego człowieka stokroć większym: nie broni go, ustrania miłość własną i szczerą wyznając prawdę, naprowadza przez to na drogę zbawienniejszą tych wszystkich, którzy przez miłość dla sprawy niepewni są, jakim torem iść nam wypada. Uznanie to uważam jako rzeczywisty skarb narodowy, bo umysł jego, zagrzany zacnem i prawem uczuciem, po właściwszej i zbawienniejszej idąc drodze, wyda niezawodnie owoce na korzyść społeczeństwa naszego i przyszłości kraju."

Michał Grabowski, odczytawszy ręką Grabianki skreśloną treść całonocnych wzajemnych wynurzań wraz z tak bezstronnym i rozumnym sądem jego potępionej przez ogół działalności, napisał — mocno wzruszony — poniżej notatki kresowego ziemianina te pamiętne słowa:

„W zacne i życzliwe serce Pańskie zapada głęboko wszystko, co na korzyść lub na obronę przyjaciela obrócić się może. To mi tłumaczy wrażenie wczorajszej naszej rozmowy. To, co mówiłem, było powiedziane bez żadnego względu na siebie, a tylko jako prosta spowiedź z moich teraźniejszych przekonań. Ze smutkiem i żalem myślę, że na drodze, którą uznawałem zawsze trudną, ale możliwą, widzę teraz nieprzezwyciężone przeszkody i niepodobieństwa, dla tego żadnej z tego nie robię tajemnicy, a jeśli moje doświadczenie może być dla kogo przestrogą, nie sądzę, że opła-

cone to będzie za drogo, zawodami i upokorzeniami całego mojego życia.

Bóg zapłać za przyjaźń...

15. maj 1859. *M. Grabowski.*"

Ale kto był Andrzej Leszczyc Grabianka, tak ściśle związany z faktem spowiedzi politycznej nieszczęśliwego „rozdawcy godności literackich"? Odpowiadamy krótko: posiadacz ziemski na Podolu, człowiek wielkich zdolności, złamanego już podówczas niepowodzeniami życia, cały oddany rozgrywającej się właśnie sprawie włościańskiej i zwolennik szybkiego uwłaszczenia kmieci. Śmiano się podówczas z tych jego projektów, złośliwi nie wierzyli w ich szczerość, a przecie on od chwili objęcia majątku w posiadanie, t. j. od 1843 r. (a więc na szesnaście lat przed uwłaszczeniem) skasował u siebie karę chłosty, ba nawet użycie ekonomskiej pięści wyprowadził u siebie ze zwyczaju, zachował serdeczny stosunek z sąsiadami z pod włościańskiej strzechy aż do zgonu (w połowie grudnia 1883 r.). Pan Andrzej, wybrany do centralnej komisyi włościańskiej w Petersburgu, jako delegat trzech południowo-zachodnich gubernij, przepędził nad Newą prawie dwa lata (1860—1861), zrujnował się majątkowo do reszty, ale przekonaniom swoim pozostał wierny. Wypisał je w testamencie, wypisał w historyi sprawy włościańskiej na Podolu, którą pozostawił w rękopisie. Krewkim był, jak wielu innych, ale mniej szczęśliwym od innych... Że Grabowski zapatrywał się na kwestyę włościańską trochę inaczej, jak Grabianka — rzecz zrozumiała, ale... ale nikt temu nie zaprzeczy, że był na tem polu wyobrazicielem większości. [1])

Jako spuścizna serdecznego stosunku tych dwóch ludzi, pozostały listy Michała Grabowskiego do Andrzeja Grabianki. Odwzorowują one dzieje chwili wyraziście, upamiętniają krzątanie się znowu czynnego i ruchliwego krytyka około utworzenia Towarzystwa rolniczego, Towarzystwa kredytowego, a co najważniejsza: uporządkowania Komisyi archeologicznej (Centralnego archiwum kijowskiego), tej skarbnicy dziejowej kresowych prowincyj.

---

[1]) Z notat i zapisków dra Antoniego J., któremu Grabianka pozostawił olbrzymi materyał do sprawy uwłaszczenia włościan, znajdujący się już dzisiaj w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie.

Nawrócony „renegat" działał tutaj w myśl głoszonych stale haseł: ratowania zabytków z przeszłości, wzbogacania się na przyszłość!

Listy Grabowskiego powtarzamy w dosłownem brzmieniu w chronologicznym porządku:[1])

„Od kilku już dni zabieram się pisać do Pana, ale że materya delikatna i trudna, więc coś mi odpowiedź nie idzie tak, jakbym chciał. Wstąpiwszy do księgarni i dowiedziawszy się, że do Pana dziś piszą, chcę kilka słów przynajmniej dodać.

„Od wyjazdu Pańskiego wpadłem w zwyczajny mój marazm i lenistwo. Jak mi źle bez Pana, jakem się do Pana przywiązał i jak mi tęskno, inaczej nie wyrażę, chyba serdeczną moją spowiedzią. W najrańszej mojej młodości miałem przyjaciół, którzy nie tylko podzielali ze mną wszystkie myśli i uczucia, ale którzy mnie jak pieszczone dziecko psuli. Takimi byli dla mnie Maurycy Mochnacki, Bohdan i inni. W dojrzałym moim wieku równie ścisłe stosunki łączyły mnie z księdzem Hołowińskim, Rzewuskim i jeszcze kilku smutnej epoki pisarzami. Powoli wszystkie te stosunki ustały; żyłem w chłodzie i osamotnieniu umysłowem. Dopiero w ostatnim peryodzie mego życia spotkawszy Pana, doznałem dawnych wrażeń razem sympatyi umysłowej i serdecznej. Weź Pan z tego miarę, jak się do Pana przywiązałem, jak czuję oddalenie Pańskie. Podwójnie też prawie osowiałem po rozłączeniu naszem i nic a nic nie zrobiłem.

„Z nowin nic innego nie mam donieść, chyba, że miejsce naprzeciw mego domu odstąpiłem K... Wczoraj był on u mnie za powrotnym przejazdem przez Kijów; oddałem mu to miejsce za bezcen, ale on użyje go na postawienie pałacyku, mieszczącego czytelnie polską i rossyjską, *atelier* dla malarzy... (kilka słów nieczytelnych). Dużobyśmy mieli do pomówienia, gdybyś Pan był w Kijowie, tego więc najgorecej pragnę..."

List drugi z daty: *Kijów 28. stycznia 1860 r.*, to już nie rzewna tęsknota za przyjacielem, ale bardzo ciekawy pogląd na sprawę uwłaszczenia włościan, tem samem więc nowy materyał do politycznego żywota naszego krytyka.

„Na sztafetę Pańską odpowiedziałem przez telegraf, ale powrotną depeszą uwiadomiono mnie, żeś już Pan przejechał do Petersburga. Mogłeś Pan być pewnym, że przeszkodą dla Pańskiej, tak potrzebnej dla kraju podróży, być nie mogłem; ale

[1]) Oryginały w posiadaniu piszącego.

z przyjacielską otwartością przed Panem wyznaję, że jestem bardzo w tej chwili ścieśniony, a bodaj czy nie będę gorzej w lutym, bo zaledwie zdołam opędzić potrzeby kontraktowe, a na nowy przychód rachować nie mogę, jak w kwietniu, kiedy się drugie krystalizacye cukru spieniężą. Jeżeli więc możesz Pan zaratować mnie w tej chwili, bardzo wdzięcznym będę; w końcu kwietnia ja znów odsłużyć się będę w stanie, a tym sposobem dopomagalibyśmy sobie wzajemnie.

„Nie potrzebuję mówić, jak się ucieszyłem z wezwania Pana do Petersburga: naprzód z osobistych względów dla Pana, bo naznaczenie to winieneś rzetelnie sobie... Ważniejszym nierównie powodem mego ukontentowania, jest przekonanie, że wielce użytecznym i sam jeden użytecznym na tem miejscu być możesz. Chociaż Pan znasz doskonale mój pogląd, jednakże streszczę go jeszcze w kilku słowach.

„Od samego początku sprawy miałem o niej to zdanie, w którem wypadki dotąd zaszłe, tylko mnie gruntują. To nie była reforma, to rewolucya! Ta rewolucya nie ma się dopiero spełniać, nie spełnia się, ale już się spełniła. Komitety gubernskie, komisye centralne, wszystkie wasze komisye petersburskie tylko ją *protokolizują*, tylko legalizują, jak legalizuje się u notaryusza akt dokonany. Kiedy się ta rewolucya spełniła? Wtedy, kiedy rząd pozwolił biurom ministeryalnym wymówić słowo *emancypacyi* i do wiadomości publicznej zamiar dopuścić. Odtąd rewolucya ta ma wykonawców a wykonawcy wspierającą ją siłą. Wykonawcami tej rewolucyi, a właściwie ich własnej rewolucyi, są biurokraci: siłą ich lud. Przeciw komu? na czyją szkodę spełnił się fakt? Przeciwko nam. Kiedy więc Szostakowski i komp. mówili mądre rzeczy w komitetach kijowskich: kiedy Jaroszyński chwali się tutaj z energicznych protestacyj w Petersburgu, ja podziwiam tylko ich dobroduszność. Mnie się zdaje, że stoją na górze i patrzą jak rzeka wiośnianym zalewem wzbiera, a tymczasem Szostakowski i Jaroszyński perorują, mówią o zagrożonem właścicielstwie łąki, o dokumentach prawnego ich nabycia, o szkodach, które powódź sprowadzi, o głodzie, który nawet całemu krajowi z zalewu tych przestrzeni zagraża, a na fundamencie tego wszystkiego reflektują i upominają rzekę. Tymczasem możeby lepiej zrobili, budując sobie łódeczkę dla ratowania siebie. Taką łódką być tylko dla nas mogły banki ziemskie. Ujmując się silnej dźwigni dzisiejszego wieku, opanowując kredyt miejscowy, znaleźlibyśmy się po wierzchu powodzi. Banki był dla nas środek nie

tylko finansowy, ale przedewszystkiem polityczny. Kto tego nie widział, pomimo całej mądrości był głupiec, bo szukał gwiazd o południu. Pan nie tylko miałeś instynkt zbawczego środka z innymi, ale masz przed innymi zasługę, żeś myśli dał zrzeczywistnienie, żeś pomimo wszelkich przeszkód miejscowych, wyrobił sobie przez nią i dla niej drogę działalności. Nie więc Panu nie zostaje, jak własnego celu nie porzucać."

W liście trzecim znajdujemy wzmianki o zabiegach Grabowskiego około podniesienia ekonomicznego dobrobytu prowincyj kresowych. Ziemiaństwo miejscowe nie stroni już od niego, przeciwnie pracuje wspólnie z naszym krytykiem, rachując się z jego praktycznym zmysłem, rozumem i doświadczeniem.

List, datowany w Kijowie 13. lutego 1860 r. Treść jego następująca:

„Okropną będzie rzeczą, jeżeli Statystyka Żurawskiego ma służyć za osnowę jakichkolwiek urządzeń naszego kraju. Do tej Statystyki stosuje się *rien n'est plus menteur que les chiffres;* istotnie do rachunku wziąwszy podstawę fałszywą, wypadek musi być najfałszywszy. Statystyka, nauka napozór łatwa, upodobaniem jest głupców, którzy gonią za powagą. Funduklej,[1]) kiedy potrzebował ujść za rozumnego, napytał sobie Żurawskiego, dostarczał mu materyałów statystycznych za pomocą ziemskiej policyi, a ten summował to i regestrował. Wiadomo, jak policya zbiera wiadomości: w każdej ekonomii dostarcza ich największy jakiś niedołęga pisarek. U mnie np. na statystyczne pytania odpowiadał zawsze niejaki Szabrański, który w szkołach nie mógł nigdy rozróżnić tych dwóch pytań: wielu jest Bogów? wiele jest grzechów śmiertelnych?... Otóż to na odpowiedziach Szabrańskich całej gubernii funduje się Żurawski. Znałem go dobrze: był to człowiek sumienny i pracowity, ale właśnie dla tego summując same nonsensa, zrobił rzecz niedorzeczniejszą. Książkę jego widziałem w druku; zdarzało mi się spotykać w dziennikach zesłania na powagę Żurawskiego; w komisyi uniwersyteckiej kijowskiej

[1]) Gubernator cywilny kijowski Funduklej pochodził z kupieckiej rodziny greckiej. Człowiek bardzo bogaty, poczciwy, małych zdolności i leniwy, nie posiadał żadnego wpływu na zarząd gubernii. Łapówek nie brał, przeciwnie znaczne kwoty przeznaczał na cele publiczne. Z ziemiaństwem miejscowem, Bibikowem i wszechwładnym Pisarewem żył w zgodzie. Otaczał się chętnie urzędnikami Polakami. (Bobrowski j. w. I. 233).

wysłuchiwałem poważne głosy Bungego[1]) i innych o nieoszacowanych resztach jego prac niedrukowanych, ale to wszystko tylko mnie bawiło, pokazując jak się tworzy nauka i literatura kazienna, ale dziś, kiedy ma to być orężem naprzeciw nas, włosy mi wstają na głowie. Weź Pan na domysł jaki szczegół i porównaj z doświadczeniem, jakie masz sam jako obywatel i gospodarz, a zobaczysz co to za dziwolągi. Przypominam sobie, że wartość produkcyi całej gubernii podaje taką, że jeden np. majątek Bobryńskiego daje wyższą; tę zaś cyfrę widziałem stosowaną przez Sołowiewa (tak mi się zdaje) do wartości pańszczyzny i wyprowadzony ztąd surowej bezużyteczności sąd. Sądzę więc, że Statystykę Żurawskiego warto ubić samą śmiesznością, bo tu teraz idzie o rzecz ważniejszą, jak o zrobienie z Fundukleja człowieka rozumnego i członka Akademii.

„My w czasie kontraktów byliśmy bardzo zajęci projektem Towarzystwa rolniczego. Zrobiliśmy jego zawiązek i już mamy 25.000 rsb. zapewnionych na pierwszy fundusz. Hołowiński, Fudakowski i ja, wybrani do ułożenia statutu; Edm. Stecki, Szembek, Podhorski, Mańkowski, Leonard Jankowski, Wł. Plater, do rewizyi naszej pracy a wszyscy razem upoważnieni jesteśmy przedstawić ją rządowi; zbieramy się dla tego 15. marca; kiedy wyszlemy statut, uwiadomimy Pana i prosić będziemy o starania. Tak samo podaliśmy przez ks. Wasilczykowa prośbę o pomoc cukrowarstwu; było w tem trochę niejedności: Hołowiński i rafinatorowie chcieli czego innego, jak ja i drudzy piaskowce: pojednaliśmy się w ten sposób, że ja swoją dokładną zapiskę podałem jako dopełnienie pierwszej prośby. Te wszystkie papiery każę skopiować i Panu przeszlę, ażebyś i o nich nie odmówił starania. Ks. Wasilczykow mówił mi wczoraj, że jeżeli summa żądanej przez nas pożyczki nie będzie nad miarę wielką, ma nadzieję nam ją wyjednać."

List czwarty z 26. kwietnia 1860 r. w dalszym ciągu te same omawia kwestye:

„Że nie pisałem do Pana, rzecz jest nadzwyczaj prosta: w dwóch listach mi Pan pisałeś, że dla stanu zdrowia musisz opuścić Petersburg, że będziesz w Kijowie w marcu, że będziesz prędzej niżeli się spodziewamy, a to sprawiło, iż myśląc, że już Pana moje listy w Petersburgu (nie zastaną), nie pisałem będąc —

[1]) Bunge był za pobytu Grabowskiego w Kijowie, profesorem Uniwersytetu.

jak Pan wiesz — ciężki zawsze, a w tych czasach wielu przykrościami skwaszony.

„Że Szostakowski i Kozakowski będą szkodliwi w Petersburgu,[1]) o tem nie wątpiłem nigdy: zaślepia ich przedewszystkiem zarozumiałość parafiańska: oni tu między swoimi byli przywódcami; jako tacy związani są potrzebą nikogo na swe miejsce nie wpuszczać, kierować się ciągle tym torem, który ich z nicości na coś wyprowadził: z tego to powodu oni się do niczego nie przychylą, coby od ich wybranych osób admiracyą i sympatye szanownej naszej publiczności odciągało: zgoła są to z położenia i — jak mówi Kozakowski — z tradycyi egoiści. Wysłanie ich do Petersburga był byk taki sam, jak wybór Jaroszyńskiego. Ale czyż to Pana może zadziwiać?

„Nie od dzisiaj Pan wiesz, że między Szostakowskim a mną nie ma żadnej spólności opinii, ale wyznaję Panu, że myśli Pańskiego protestu nie podzielam. W sposobie, jaki rzeczy wzięły, chłopi są stroną faworyzowaną przez rząd, dla tego bezwzględnej tu sprawiedliwości zachowywać między stronami nie można. Samowola właścicieli gruntów względem chłopów może być tylko dopuszczalnym wyjątkiem, ale nieakuratność w wypełnianiu zobowiązań przez chłopów, będzie stanem normalnym: więc kiedy nierugowalność ma być zasadą, jest to tak samo, co odmówienie właścicielowi wszelkiej sprawiedliwości. Mówię nierugowalność, bo Pańskiej stronności za wyrazem bezsroczność nie podzielam. Ten wyraz jest sam przez się nonsensem, a ukuły go kancelarye rossyjskie nie bez tajemnej myśli. Terminowość jest wyraz, co określa rzecz jasną: nieterminowość jest narośl językowa, bo oddaje pojęcie wieczystości, a własność wieczysta jest przez to samo własnością bezwarunkową. Ja rozumiem powody Pańskiego zdania: Pan decydowałeś się względami bezpieczeństwa dla szlachty, to jest ażeby lud nie postrzegł się, że mu robią koncesye illuzyjne: ale to nie stosownie, że dla drugiej strony, dla szlachty, to będzie jej wyzuciem samowolnem. Tak to bez wykupu nie ma rozwiązania kwestyi; systemat czynszowy (u nas pod wpływem nieżyczliwości rządu, doskonale tym razem dowiedzionej i przy knowaniach biurokracyi)

[1]) O Szostakowskim i Kozakowskim a również wogóle o sprawie uwłaszczenia włościan dużo szczegółów pierwszorzędnego znaczenia w „Pamiętnikach Tadeusza Bobrowskiego“. Lwów 1900. Tomów dwa.

wciąga mimowolnie w fałszywe kroki i tę samą logicznością i sumiennością. fałszywymi zostać muszą. [1])

„Dziękuję za książkę o bankach. Jeżeli zrobimy, jeżeli dopuszczą zrobić Bank miejscowy, to nas jeszcze jakkolwiek zbawi. Posyłam Panu projekt ustawy naszego Towarzystwa; podaliśmy prośbę 22. lutego, odtąd nie wiemy, co się z nią dzieje. Mają tam dać jakieś zaprosy. Wszystko to rzecz zwleka i opaźnia. Zmiłuj się Pan, napisz, co tam w Petersburgu możecie nam pomódz?"

Michał Rolle.

(Dokończenie nastąpi).

---

[1]) Bobrowski (j. w. II. 214) pisze: sprawą włościańską zajmował się Grabowski „przeważnie z punktu interesu ekonomicznego i prawnego, i w tym celu z właściwą sobie stanowczością zalecał natychmiastowe uwłaszczenie; wszakże bliżej kwestyi, ani w jej przebiegu gdzie indziej, ani co do dróg i środków u nas, nie znał i nie studyował. Poglądy zaś jego w szczegółach zostawały nieokreślone, pomimo. iż na posiedzenia nasze uczęszczał i ciągle w towarzystwie naszem przebywał. A może właśnie dla tego wypowiadać się nie lubił".

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Ciąg dalszy).

Zgłaszający się do szkoły bez odpowiedniego świadectwa musiał zdać egzamin z arytmetyki, z geometryi, z algebry, z początków trygonometryi prostolinijnej, z początków geometryi opisującej; musiał mówić i pisać poprawnie po polsku; musiał znać język francuski a przynajmniej umieć dokładnie czytać i znać ogólne prawidła gramatyki; musiał znać przynajmniej ogólną historyę Polski; musiał być biegłym w rysunku linijnym i mieć początki rysunku naśladowniczego.

Kandydaci, którzy przedstawili dyplom bachalier ès sciences, bywali uwolnieni od egzaminu z arytmetyki, geometryi, algebry, trygonometryi i geometryi opisującej.

Kurs nauk w szkole montparnaskiej trwał dwa lata; a nauka odbywała się w dwóch oddziałach: w niższym czyli pierwszym i w drugim czyli wyższym.

Oddział czyli kurs niższy obejmował według programu z r. 1865/6: Arytmetykę całą; algebrę do dwumianu Newtona włącznie: geometryę całą; trygonometryę; geometryę analityczną: geometryę wykreślną do powierzchni skośnych wyłącznie; fizykę; chemię; rysunki: język francuski; historyę polską i literaturę polską. Program z r. 1862 obejmował nadto geodezyę praktyczną,

która miała na celu obeznanie uczniów z instrumentami potrzebnymi do zdejmowania planów i niwelacyi w zastosowaniu do projektów dróg, kanałów i kolei żelaznych.

Uczniowie, kończący oddział czyli kurs niższy szkoły, byli usposobieni dostatecznie do przejścia na kurs wyższy szkoły lub do zdania egzaminu do szkoły centralnej, utrzymywanej przez kompanie prywatne, do klasy przygotowawczej Szkoły górniczej paryskiej, do Szkoły górniczej w Saint-Etienne, do Szkoły wojskowej w Saint-Cyr, do Szkoły architektury i handlu w Paryżu, do Szkoły sztuk i rękodzieł w Belgii itp.

Na kursie drugim czyli wyższym wykładano według programu z r. 1865/6: Algebrę a w szczególności równania wyższych stopni; rachunek różniczkowy i całkowy; mechanikę racyonalną i część stosowanej; geometryę wykreślną od powierzchni skośnych i zastosowanie jej do perspektywy, do teoryi cieni, ciesiołki i kamieniarki; fizykę; chemię; rysunki; język francuski; historyę i literaturę polską.

Po ukończeniu kursu wyższego mogli uczniowie zdawać egzamin: do Szkoły dróg i mostów, do klas specyalnych Szkoły górniczej paryskiej, do Szkoły artyleryi i inżynieryi wojskowej w Metzu, do Szkół górniczych, dróg i mostów w Belgii itp.

Program nauk ulegał zresztą pewnym zmianom, podyktowanym potrzebami czasu. Uczono na kursach w miarę możności i literatury francuskiej, historyi powszechnej, geografii polskiej, ekonomii politycznej i prawa natury, estetyki, historyi naturalnej, miernictwa, buchalteryi itd.

Grono profesorskie nie było nigdy liczne, bo nie pozwalały na to fundusze. To też wykład niektórych przedmiotów powierzano niekiedy, zwłaszcza w niższym oddziele uczniom szkoły pod kierunkiem fachowego profesora tym mianowicie, którzy byli do pewnego przedmiotu wybitnie uzdolnieni i już z niego pomyślne egzamina pozdawali. Mianowano też z pośród zdolniejszych uczniów korepetytorów, którzy kolegom mniej uzdolnionym i słabiej przygotowanym pomagali. Szkoła, świadcząc dobrodziejstwa, miała zupełne prawo żądania wzajemnych usług.

Matematyki uczył w Szkole wyższej polskiej przez pewien czas Hoene-Wroński; uczył jej tu także G. H. Niewęgłowski, autor geometryi w języku polskim, wydanej w r. 1854, oraz Sągayło E., autor: Wykładu geometryi (Paryż 1882) i Wykładu algebry (Paryż 1874).

Język francuski i literaturę francuską wykładał w szkole znany tłumacz arcydzieł literatury polskiej na język francuski Wacław Gasztowtt.

Historyę polską wykładał między innymi Waleryan Kalinka.

Estetyki uczył przez pewien czas głośny filozof Trentowski.

Nie zaniedbywano też w szkole edukacyi fizycznej. Ćwiczenia gimnastyczne i wojskowe zapełniały chwile wolne od prac naukowych: obszerny dziedziniec szkoły doskonale się do tego nadawał.

Rok szkolny rozpoczynał się w październiku a kończył się w sierpniu.

W r. 1863/4 urządzono w szkole wyjątkowo trzeci kurs czyli oddział, w którym wykładano teoryę piechoty, teoryę kawaleryi, gimnastykę, chemię zastosowaną do sztuki wojskowej, historyę Polski i rysunki topograficzne.

W zimie r. 1869/70 założono przy szkole pod przewodnictwem hr. Działyńskiego Towarzystwo nauk matematycznych i przyrodniczych, które zbierało się w gmachu szkolnym raz w miesiącu, wydawało nakładem swego prezesa dzieła matematyczne i Roczniki swoje i urządzało wieczorami publiczne wykłady polskie z dziedziny nauk matematyczno-przyrodniczych.

Szkoła opiekowała się i tymi uczniami, którzy, opuściwszy ją, kontynuowali studya w specyalnych zakładach naukowych francuskich. W czasie wakacyi uczniowie, uczęszczający na kursa nauk w Szkole dróg i mostów i górniczej, wyjeżdżali dla zwiedzenia kopalń, robót przy kolejach żelaznych, kanałach, portach morskich lub znaczniejszych przemysłowych zakładach. Ubogim udzielała szkoła w miarę możności stosownej pomocy.

Uczniów obowiązywała w internacie szczegółowa reguła. Wolno im było wychodzić tylko dwa razy w tydzień. Nocowanie poza zakładem było wzbronione. Jedno wykroczenie przeciw regule dawało dyrekcyi prawo wydalenia ucznia z szkoły. Co dwa miesiące wysyłała szkoła rodzicom a względnie ich zastępcom sprawozdania z postępów ucznia i jego sprawowania.

Uczniowie przychodni (externi), przepędzali cały dzień w szkole, otrzymywali w niej naukę i stół, ale mieszkali poza szkołą.

Wolni słuchacze uczęszczali na jeden lub kilka wykładów stosownie do umowy.

Zgłaszający się kandydaci, nie młodsi nad lat szesnaście, a nie starsi nad lat dwadzieścia pięć, musieli okazać list zastępcy

rodziców lub opiekunów, zamieszkałego w Paryżu, w którym tenże zobowiązywał się do regularnej opłaty szkolnej.

Opłatę wnoszono z góry w trzech ratach kwartalnych, a regulowano ją co roku, zmniejszano lub zwiększano zależnie od zamożności ucznia. Najwyższa opłata wynosiła 1.000 fr. rocznie. Uczeń, pragnący mieć osobny pokój, dopłacał kilkaset franków więcej. Emigranci albo synowie emigrantów przyjmowani byli z reguły bezpłatnie. Uczniowie płacący obowiązani byli z własnych funduszów sprawiać sobie książki i odzienie.

Wstępujący do zakładu wnosił ze sobą do swego użytku łyżkę, widelec i nóż oraz kubek a nadto trzy pary prześcieradeł i 12 serwet, a opuszczając szkołę zostawiał parę prześcieradeł i sześć serwet dla infirmeryi.

Uczniowie, uwolnieni od opłaty, mieli wszystko za darmo: naukę, bieliznę, odzież, obuwie, książki itd.

Umundurowania osobnego nie było.

Frekwencya zakładu ulegała nieznacznym wahaniom.

W roku szkolnym 1856/7 było w zakładzie 31 młodzieńców a w 1857/8 r. 32; z tego 25 internistów.

W roku szkolnym następnym zapisało się do szkoły 33, wszyscy interniści.

Zakład zaludnił się bardziej po przeprowadzeniu się do własnego domu i po zwiększeniu się subwencyi rządowej.

W latach szkolnych od 1865/6 do 1870/71 tj. aż do zamknięcia miał zakład stosunkowo liczną frekwencyę:

W r. szk.	1865/6	intern.	65,	ekstern. i woln. słuch.	50,	razem	115.
„	1866/7	„	53,	„	51,	„	104.
„	1867/8	„	63,	„	18,	„	81.
„	1868/9	„	53,	„	15,	„	68.
„	1869/70	„	57,	„	6,	„	63.
„	1870/1	„	37,	„	2,	„	39.

Zarząd szkoły i dozór nad nią znajdował się w rękach Rady szkolnej, która się stopniowo uzupełniała. Do jej zakresu działania należało wszystko, co się szkoły tyczyło: sprawy naukowe i administracyjne.

W skład pierwszej Rady, pozostającej pod przewodnictwem księcia Adama Czartoryskiego, wchodzili byli członkowie rządu narodowego z r. 1830: Stanisław Barzykowski, Teodor Morawski i Andrzej Plichta, jakoteż pułkownik Adolf Cichowski, znany

z III. części „Dziadów“, podpułkownik Kazimierz Paprocki i profesorowie Hipolit Błotnicki i Stanisław Kunatt.

Prócz wyżej wymienionych osób, tworzących pod prezydencyą księcia Adama Czartoryskiego pierwszą Radę szkoły, weszli następnie do jej składu: Książę Władysław Czartoryski, który po śmierci ojca został prezesem Rady, dalej generał hr. Władysław Zamoyski, filozof Bronisław Trentowski, generał hr. Bystrzonowski, poseł Amancyusz Żarczyński, hr. Jan Działyński, Walery Kalinka, znany wydawca arcydzieł literatury polskiej Eustachy Januszkiewicz, major Franciszek Szemioth, Karol Ostrowski, Karol Chobrzyński, Gustaw Dąbrowski, Lubomir Gadon, Józef Rustejko, Ksawery Szlenker, Ludwik Nabielak, Karol Sulikowski jakoteż każdorazowi dyrektorowie szkoły.

Dyrektorowie zmieniali się bardzo często. Pierwszym dyrektorem był Glinojecki (1848—1849); po nim kierował szkołą major Zawierski (1849—1853); a w dalszym ciągu Stanisław Gajewski (1853—1855), Juliusz Jedliński (1855—1860), generał Konarski (1860—1863), Henryk Niewęgłowski (1863—1865), Edward Habich (1865—1868) i ostatnim były profesor poznański dr. Kaz. Szulc (1868—1871).

Częścią gospodarczą szkoły zawiadywał ekonom.

Strona finansowa przedstawia nam bodaj najlepiej wysiłki Rady szkolnej, aby zakład utrzymać, a zarazem jego wybitne zasługi.

W sprawozdaniu, wydanem w r. 1853, zaznaczono, że do owego czasu wydano na utrzymanie szkoły 133.669 fr.

Budżet w r. szkolnym 1856/7 przedstawiał w dochodach 39.436 fr., a w rozchodach 37.819 fr.

W roku następnym zamknięto rachunki deficytem 980 fr.

W ostatnich latach istnienia szkoły deficyty powtarzały się coraz częściej i dochodziły niekiedy do znacznej wysokości.

W r. szkolnym 1865/6 wynosił deficyt 6.507 fr. wobec przychodu 77.467 fr.

Rok szkolny 1866/7 zamknięto deficytem około 254 fr. mimo dochodu 87.634 fr.

Na końcu r. szk. 1867/8 pozostało w kasie 1.739 fr. po pokryciu wydatków w kwocie 70.255 fr.

I r. 1868/9 zamknięto nadwyżką 934 fr.

Rok szkolny 1869/70 skończył się deficytem 98 fr.

W r. 1870/71 wynosił budżet szkoły w dochodach 48.558 fr. a w rozchodach 45.802 fr. Stan funduszów szkoły obliczono w aktywach 13.273 fr. a w pasywach 11.413 fr.

Stan funduszów nie tłumaczy jeszcze faktu zamknięcia szkoły z końcem r. 1870/1.

Aby go zrozumieć, trzeba rozpatrzyć źródła dochodów szkoły.

Najwydatniejszem źródłem dochodów był zasiłek rządowy, stale wypłacany szkole przez rząd francuski z funduszów, które ciała prawodawcze uchwaliły na rzecz emigracyi polskiej jako rekompensaty za wydatki Polski na rzecz armii francuskiej.

Miała szkoła z tego źródła co rok 20.000 fr. subwencyi regularnej, a prócz tego wyjednywała sobie subwencye nadzwyczajne, niekiedy wcale wydatne.

W r. 1860/1 wypłacił jej rząd 40.000 fr.

W r. 1864 rząd przyrzekł prócz dotychczasowych 20.000 fr. płacić na 20 uczniów po 35 fr. miesięcznie a 3.600 fr. rocznego dodatku czyli prócz regularnej kwoty 20.000 fr. dodatkowo jeszcze 12.000 fr.

Roku 1865 dostała szkoła subsydya miesięczne po 50 fr. dla 40 uczniów a nadto oprócz dotychczasowych 20.000 fr. dodatku 10.000 fr. z przyrzeczeniem 6.000 fr. dodatku na rok przyszły.

Na rok szkolny 1867/8 rząd dał trzem uczniom więcej subsydya miesięczne po 50 fr., razem więc 43 uczniom.

Subsydya miesięczne czyli bursy rządowe dostępne były tylko dla synów politycznych emigrantów polskich. Aby przyjść z pomocą i innej młodzieży polskiej, przybywającej do Francyi, Rada szkoły odniosła się do społeczeństwa polskiego z prośbą o fundowanie nowych burs. Fundusz na bursę miał przynosić miesięcznie 100 fr. i być zapewnionym przynajmniej na lat pięć.

W budżecie z r. 1869/70 łączna subwencya rządu francuskiego wynosiła 52.650 fr. a w budżecie z r. 1870/1 razem 33.200 fr.

Wojna francusko-pruska położyła koniec subwencyi rządowej i przecięła byt szkoły. Najprzód rozprószyła się znaczna część młodzieży.

Kandydaci, przybyli z kraju za paszportami, udali się do zakładów belgijskich i szwajcarskich, a w łonie samej szkoły nastąpiła całkowita dezorganizacya. Kilkunastu uczniów weszło do armii francuskiej.

W gmachu szkoły urządzono z początkiem oblężenia Paryża ambulans; pozostali uczniowie i profesorowie szkoły pełnili służbę

wojskową na wałach lub poza wałami stolicy. Wewnętrzne kursa szkoły można było rozpocząć dopiero po zawarciu zawieszenia broni. W tem wybuchła wojna domowa w Paryżu, tak iż zaledwie kurs niższy można było prowadzić od 15. lutego do 1. lipca.

Od lutego do lipca r. 1871 szkoła nie pobierała od rządu żadnych subsydyów i istniała tylko za pomocą kredytu dostawców a także pożyczek prezesa Rady Wł. Czartoryskiego i przygodnych datków. Szkoła znalazła się w bardzo trudnem położeniu.

Rząd tymczasem zredukował sumę, przeznaczoną na potrzeby emigracyi polskiej na rok 1871 do połowy, szkoła montparnaska mogła więc w najlepszym razie liczyć na połowę dotychczasowej allokacyi rządowej. Wobec tych rozmaitych trudności Rada zamknęła szkołę tymczasowo od pierwszego lipca r. 1871. Rada zajmowała się następnie myślą urządzenia eksternatu, ale myśl tę porzucono jako niemającą warunków powodzenia.

Gdy nareszcie rząd dn. 8. paźdz. 1871 r. oświadczył, że po otrzymaniu subwencyi za drugi kwartał 1871 roku szkoła na żadną dalszą allokacyę na ten rok liczyć nie powinna i że co się tyczy udzielenia jakiejkolwiek pomocy dla szkoły na rok przyszły rząd żadnego zobowiązania wziąć nie może, wtedy Rada uchwaliła 15. października w składzie swoim pozostać, szkoły ostatecznie nie rozwiązywać, ale ograniczyć istnienie jej do urządzenia dla uczniów, nieuczęszczających jeszcze do szkół specyalnych, korepetycyi i do zachowania opieki nad uczniami, otrzymującymi subsydya rządowe.

Uchwała ta równała się ostatecznie zwinięciu szkoły. Na temże samem posiedzeniu wybrała Rada Komisyę, mającą oddzielić z pomiędzy ruchomości i nieruchomości szkolnych własność zakładu od własności księcia Władysława Czartoryskiego. Komisya dokonała tego zlecenia.

Rząd francuski, wspierając zakład, wykonywał nad nim kontrolę podwójną: przez ministerstwo oświaty jako instytucyę naukową i przez ministerstwo spraw wewnętrznych jako instytucyą rządowo wspieraną.

Drugiem źródłem dochodów stałych ale niewydatnych a przytem co do wysokości mało uchwytnych były opłaty uczniów niefunduszowych.

W r. szk. 1856/7 opłaty uczniów przyniosły razem 2.512 fr.; w r. 1857/8 5.075 fr.; w 1865/6 roku 9.167 fr.; w 1868/9 roku 10.258 fr.; w r. 1870/1 tylko 1899 fr.

Trzeciem z początku dość wydatnem pod koniec wysychającem źródłem dochodów szkoły były składki publiczne i ofiary osób prywatnych.

Głównymi dobrodziejami i opiekunami Szkoły wyższej polskiej byli poza rządem francuskim Czartoryscy, książę Adam i syn jego Władysław, dwaj kolejno po sobie następujący prezesowie Rady szkoły.

Senator i wojewoda Królestwa polskiego Mateusz Wodzinski. umierając r. 1848 w Dreźnie. zostawił testamentem do rozporządzenia ks. Adama Czartoryskiego na potrzeby emigracyi polskiej sumę 100.000 złp. Z tej sumy oddał Czartoryski 27.500 fr. na potrzeby bieżące szkoły w pierwszych dwu latach jej istnienia.

Rodzina Czartoryskich nie szczędziła i własnych ofiar na szkołę. Wymienię tylko znaczniejsze kwoty, pomijając mniejsze i nie wspominając o nieustających ciągłych zabiegach o zbieranie składek. o wyjednanie subwencyi rządowej. o należyte urządzenie szkoły i gabinetów itp.

W r. 1857/8 zebrano na rzecz szkoły składkę 16.386 fr.: rodzina ks. Adama Czartoryskiego złożyła sama 6.000 fr.

W r. 1859 książę Władysław Czartoryski wydał na grunt pod szkołę i na wybudowanie gmachu szkolnego sumę przeszło 200.000 fr.

W r. następnym został wybudowany na koszt ks. Wł. Czartoryskiego tylny gmach szkolny.

Szkoła zobowiązała się płacić księciu za jego wydatki i zaliczki co rok 4.000 fr. czynszu. tymczasem wypłaciła raz tylko częściowe komorne w kwocie 2.500 fr. Książę nie brał procentu. owszem co roku prawie tyle dodawał.

W r. szk. 1865/6 wyłożył książę na potrzeby szkoły 1.700 fr.

Niejednokrotnie książę pożyczał szkole i w późniejszych latach znaczniejsze kwoty zupełnie bezinteresownie jak n. p. w r. szkolnym 1869/70 sumę 19.000 fr.

Królowa hiszpańska Krystyna ofiarowała w dzień ślubu córki swej z ks. Władysławem na szkołę 50.000 fr., jako wieczysty fundusz familijny, który nawet w razie spłacenia awansu a nawet w razie zamknięcia szkoły miał służyć sprawie wychowania narodowego polskiego.

Miała szkoła i innych możnych protektorów. Pewna anonimowa osoba z Litwy składała przez pewien czas na rzecz szkoły co roku po 5.000 fr. za pośrednictwem księżnej A. Sapieżyny a po jej śmierci za pośrednictwem generała Wład. Zamoyskiego.

Zamoyski osobiście nieraz spieszył szkole z pomocą: w r. 1865/6 złożył na jej potrzeby 1.400 fr.

W rzędzie dobrodziejów szkoły zajął miejsce anonim z Litwy, składając w r. szk. 1857/8 na szkołę 3.000 fr.

Rada miasta Krakowa pospieszyła szkole z pomocą w ciężkim dla niej roku 1870/1, posyłając jej 500 fr.

Wspierano szkołę i w inny jeszcze sposób.

Towarzystwo 3-go Maja podarowało zakładającej się szkole bibliotekę swoją. W r. 1861 dostała szkoła w darze od profesora Domeyki w Chile zbiór minerałów, a od hr. Jana Działyńskiego gabinet fizyczny.

Oto zarys dziejów Wyższej Szkoły polskiej w Paryżu. Uwydatniły się w nim wybitne zasługi tej instytucyi, które tu zbieram w jedno ognisko. Szkoła dostarczała całym szeregom młodzieńców z emigracyi, a także i niemało młodzieży z kraju środków utrzymania, oraz pobierania i kończenia wyższych nauk, a przytem czuwała z całą troskliwością nad rozbudzeniem i utrwaleniem w ich sercach rzetelnych uczuć narodowych polskich. Z szkoły montparnaskiej wyszło wielu gorliwych patryotów i użytecznych obywateli. Zasługi szkoły ocenimy tem lepiej, gdy zważymy, że szkoła zajmowała się młodzieżą od lat 17 do 25, a więc w tym okresie życia, który rozstrzyga o losach człowieka na całe życie. A dodajmy, że szkoła działała na gruncie paryskim, gdzie potrzeba silnej woli, aby się niedać wciągnąć w wir zepsucia i bezmyślnego życia.

Przypatrzmy się cyfrom. W ciągu 23 lat istnienia szkoły uczęszczało do niej 620 uczniów, którzy z małymi wyjątkami pokończyli szkoły specyalne i otrzymali dyplomy inżynierów cywilnych, wojskowych lub świadectwa, upoważniające ich do innych zawodów uczonych lub przemysłowych.

Znaczenie Szkoły montparnaskiej określili dobrze lubo nieco patetycznie jej profesorowie w Odezwie z r. 1862, nawoływującej młodzież polską do studyum nauk i umiejętności, dotąd w Polsce zaniedbanych, a jednak tak bardzo potrzebnych. Kraj nie miał zakładów, któreby tych nauk udzielały, szkoła paryska zastępowała bodaj w części tę fatalną lukę. Kwitła u nas zawsze poezya, a wyjątkiem tylko były umiejętności. Uwielbiano u nas wyobraźnię, nie rozum. I runęło państwo polskie nie brakiem męstwa obywateli, nie brakiem waleczności żołnierzy i poświęceń w narodzie, ale brakiem publicznego rozumu. Zrozumiała to dobrze

Polska porozbiorowa i dlatego od razu zabrała się, gdzie mogła, do organizowania dobrych szkół, a gdy następnie wróg osuszył źródła oświaty narodowej w kraju, otwierała je z wielkiem poświęceniem za granicą w tem przekonaniu, że nauka orzeźwia życie narodu. Nauki i umiejętności to nieśmiertelne potęgi, których wróg nam wydrzeć nie zdoła, a które stanowią silną dźwignię naszego politycznego zmartwychwstania. Dziś trzeba się uczyć — wołają profesorowie paryscy — aby umieć przeniknąć i zniweczyć piekielne plany nieprzyjaciół polskiego imienia. Cała siła wrogów opiera się na naszej niewiadomości.

Wiedzą o tem dobrze nasi ciemiężcy i dlatego nie dopuszczają, aby młodzież polska w narodowych szkołach odbierała polskie wychowanie i polskie nauki! Nie chcą, aby Polacy mieli swoje uniwersytety, bo się boją, aby światło umiejętności nie rozwidniło ohydnej niewoli, w której naród jęczy. Wróg poniszczył szkoły, na koszary pozamieniał uniwersytety, złupiwszy ich dobra! Wróg nie chce, aby się młodzież polska uczyła! Wobec tego młodzież polska powinna się z tem większym zapałem garnąć do nauki, do umiejętności i pełną garścią rozsiewać światło, aby się kraj sam rozpoznał i zrozumiał.

Odezwa powyższa wskazuje zamiary i zasługi nie samej tylko szkoły montparnaskiej, lecz całej emigracyi polskiej.

Od pierwszych lat trwania emigracyi tworzyły się w niej instytucye, świadczące, że przedstawiciele sprawy polskiej na obczyźnie otoczyli troskliwą opieką wychowanie młodego pokolenia, między nimi wzrastającego. Wzniesiono i utrzymywano z trudem szereg bardzo pożytecznych instytucyi ofiarnością polską i hojną pomocą rządu francuskiego. Zakłady te, z których znaczna część już nie istnieje, stanowią zaszczytną kartę w historyi tułactwa polskiego. Ludzie, co życie spędzili w zawodzie politycznym albo wojskowym, musieli w podeszłych niemal latach zmieniać /się w pedagogów,/przewodników uczącej się młodzieży. Zadanie było trudne, a przeciaż wywiązano się z niego dobrze. Młodzież przychodziła z różnych części kraju macierzystego, a była to młodzież różnego wieku, różnego stopnia wykształcenia i różne obierająca sobie powołanie naukowe. Do tego przydać trzeba przeszkody, każdemu dziełu obywatelskiemu, zwłaszcza na emigracyi właściwe, to jest ciągły niedostatek pieniędzy. Dobra wola, energia i wytrwałość zwyciężyły.

Literatura i źródła. a. Jak giną instytucye na emigracyi. Nap. a. Paryż 1896. Broszura pełna nieuzasadnionych oskarżeń

i oszczerstw na ks. Adama Czartoryskiego. Zestawić ją trzeba z pamfletem Chropieńskiego z r. 1898 zob. pod Szkołą batyniolską. — Baraniecki M. A.: Towarzystwo nauk ścisłych w Paryżu w Ateneum 1877. I. — Barzykowski Stan.: Przemówienie z r. 1858/9. — Błotnicki H.: Szkoła wyższa polska w Roczniku Tow. hist. liter. w Paryżu 1866 i następne. — Czartoryski Wł.: Dom szkoły wyższej polskiej w Paryżu, Paryż 1858. — École superieure à Paris, (bez m. i r.). — Instytucye naukowe i dobroczynne, założone i wspierane przez XX. Czartoryskich w Paryżu na emigracyi, Paryż 1860. — Présentation de l'institution préparatoire à son altesse la princesse Ladislas Czartoryska, 1855. — Przewodnik naukowy w Paryżu, Paryż 1860 i dalsze. — „Trzeci Maj", czasopismo, Paryż 1847. 1848. — Wiadomość o Instytucie przygotowawczym polskim od 1848—1853. — Wiadomość o szkole przygotowawczej, Paryż 1850, 1853, 1855. — „Wiadomości polskie", czasopismo, Paryż 1859. 1860. — Wyższa Szkoła polska w Paryżu: Odezwa i sprawozdanie 1856/7; Toż 1862; Program warunków przyjęcia uczniów do Szk. wyż. pol. i program umiejętności i nauk wykładanych w tej szkole, Paryż 1862; Sprawozdanie 1857/8, 1865/6, 1866/7, 1867/8, 1868/9, 1869/70, 1870/71.

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Wystawa Rembrandtowska w Lejdzie

w r. 1906.

(Notatki turysty).

(Ciąg dalszy).

Takiem studyum, ale już do obrazu, była także Zuzanna z r. 1647.[1]) Studyum to przygotowawcze do obrazu: Zuzanna i dwaj starce, znajdującego się w królewskiej galeryi w Berlinie, podobnie jak jest niem Zuzanna w paryskim Luwrze. Popiersie kobiety nagiej, o ciele więcej ciemnem, brunatnawem, ale naturalnem. Na głowie żółta czapeczka. Twarz brzydka, bladawa, okraszona delikatnym rumieńcem i patrząca dwojgiem oczu ciemnych i pełnych życia. Twarz ta nie posiada tego wyrazu, którego spodziewalibyśmy się u Zuzanny. Co więcej, we wspomnianym obrazie berlińskim bohaterka ma również wyraz niezbyt odpowiadający chwili, wyraz raczej jakiegoś spokojnego zaciekawienia, aniżeli przestrachu i dziewiczego wstydu. Bądź co bądź jednak i to studyum naszej wystawy, ten mały obrazek, wskazuje, że wyszedł z ręki mistrza. Jakie życie nadają tej twarzy oczy, jakie zaokrąglenie pleców i jak tam malowane ciało!

[1]) Rembrandt-Rosenberg, str. 240, str. pr.

Z kilku głów, które jeszcze należały do Rembrandta, wymienię obrazeczek, będący własnością p. Janssena z Brukseli. [1]) Studyum to starca z siwą brodą jest najmniejszem, znanem malowidłem Rembrandta, wielkości dłoni ludzkiej. Jest ono tak silnie modelowane, chociaż pochodzi z lat wczesnych jego działalności (1633 rok), że wygląda, jakby urobiono je z brunatnawego gipsu. Pędzel artysty, nakładając tutaj farbę grubo i niezmiernie energicznie, stworzył głowę o nadzwyczajnej plastyce i charakterystycznem piętnie. Wymienię wreszcie popiersie, na które składają się barwy jasne, tworzące całość ogromnie harmonijną: popiersie człowieka starszego, z oczami spuszczonemi ku ziemi z wyrazem zadumania. Ubiór na nim czerwony, na głowie okrycie białe, włosy ciemno-żółte, podobna też broda. Tego rodzaju połączenie barw rzadko spotyka się u Rembrandta. [2])

Portrety i studya głów, oto co głównie stanowiło spuściznę Rembrandtowską na tej wystawie. Wiemy zresztą, że to charakteryzuje do pewnego stopnia całą jego spuściznę artystyczną.

Obrazów kompozycyjnych, którymi się teraz zajmiemy, było tylko cztery: Chrystus i Samarytanka, Chrystus na krzyżu, Konsul rzymski i czwarty — Andromeda.

A więc naprzód „Chrystus i Samarytanka“, [3]) przedmiot, który przedstawiał Rembrandt niejednokrotnie w swoich obrazach i akwafortach. Chrystus siedzi i przemawia, wyciągnąwszy w odpowiednim ruchu prawą rękę przed siebie. Tuż obok niego po prawej stronie obrazu stoi Samarytanka, pochylona silnie nad studnią, lewą bowiem ręką opiera się o niską jej cembrowinę, a drugą przytrzymuje znajdujące się na niej naczynie na wodę. Twarz jej wpatrzona w Chrystusa. W pewnem oddaleniu kilka osób (co prawda, zaledwie zaznaczonych), przysłuchujących się słowom przemawiającego.

Na dalszem tle, tuż poza Chrystusem i Samarytanką, widać mur, ponad którym wznoszą się szczyty rozmaitych drzew wschodnich, stanowiących sposobem Rembrandtowskim gąszcz fantastyczną i pełną tajemniczości; widać wieżę czworograniastą, znaną zresztą z akwafort Rembrandta i jakieś dalsze budowle.

---

[1]) Rembrandt-Rosenberg, str. 88.

[2]) Były jeszcze na wystawie: Głowa młodzieńca, własność hr. Tarnowskiego z Dzikowa i głowa starca Ksawerego Branickiego z Warszawy, której nie było jeszcze w czasie mojej obecności w Lejdzie.

[3]) Rembrandt-Rosenberg, str. 295.

Obraz ten pochodzi z roku 1655. a więc z epoki późnej działalności Rembrandta i należy widocznie do tych jego utworów, w których nie chodziło mu o świetność więcej zewnętrzną, o świetność kolorytu, lecz raczej o jak największe wykończenie psychologicznej strony obrazu, a więc przedewszystkiem o charakterystykę twarzy występujących osób. To też koloryt obrazu jest poważny i ciemny, ciemnym jest ubiór Chrystusa i część ubioru Samarytanki, ciemną wreszcie jest zieleń grupy drzew wschodnich. Zaledwie biała koszula, stanowiąca górną część ubioru Samarytanki, rozpogadza nieco większą jasną plamą koloryt obrazu.

Nie w kolorycie tkwi urok i siła utworu, tem bardziej, że ma on w niektórych miejscach jakieś uszkodzenia i zatarcia, które psują ogromnie wrażenie całości. Spojrzmy na twarz Chrystusa. Twarz jego typu wybitnie semickiego, pełna powagi i mądrości, oddaje znakomicie wyraz człowieka nauczającego, który mówi o rzeczy swojej z przejęciem się i całem przekonaniem. Z ogromną też siłą namalował Rembrandt twarz nieładną, ale charakterystyczną Samarytanki, [1]) tak zasłuchanej w słowa Chrystusa, że zda się zatraciła zupełnie świadomość wszystkiego innego. A od tej tak świetnej charakterystyki twarzy, od tej sceny, jaka rozgrywa się między Chrystusem a Samarytanką, tchnie ku widzowi dziwny nastrój, nadzwyczajnie spotęgowany smętnem tłem krajobrazowem, przedewszystkiem zaś ciemną zielenią wschodniego gaju.

I to właśnie ujęcie przedmiotu, to przedstawienie Chrystusa i Samarytanki pod otwartem niebem, na tle krajobrazu, dodaje bardzo wiele wdzięku temu utworowi. Mniej podobają mi się pod tym względem dwa inne obrazy Rembrandta tej samej treści, które znam z reprodukcyi, a które znajdują się w petersburskim Eremitażu i u p. Rudolfa Kanna w Paryżu. Za dużo tam architektury, zwłaszcza na obrazie petersburskim. I Chrystus i Samarytanka wyglądają na tym ostatnim jakby z dwu okienek, które tworzą w około nich kolumny budowli. [2])

„Chrystus na krzyżu“ [3]) — malutki obrazek, ale pełen mocy i nastroju. Chrystus już umarł, głowa zwisła na piersi, oczy

[1]) Zdaje mi się, że się nie pomylę, jeżeli wskażę wzór do tej Samarytanki w portrecie młodej dziewczyny, będącym własnością Lorda Ridley'a w Londynie, a malowanym w roku 1654, o rok tylko wcześniej od naszego obrazu. Zob. Rosenberg, 286, str. 1.

[2]) Rembrandt-Rosenberg, str. 333 i 332.

[3]) Tamże str. 232, str. pr.

zamknięte. O jakimś wyrazie twarzy trudno tutaj mówić. Mistrz rzucił tylko na nią jakieś ogromne cienie i przez to jakby ją zupełnie zniszczył. A ta głowa spoczywająca w swem pochyleniu aż na piersi, ta twarz tak strasznie zniszczona, każe nam odczuwać cały ogrom cierpienia, które ta istota przebyła. Teraz wszystko już się skończyło! Takie same cienie zniszczenia rzucił Rembrandt na część twarzy Chrystusa w „Zdjęciu z krzyża“ w jednej ze swoich akwafort.[1]) Nie tylko jednak głowa Chrystusa budzi we widzu tak wstrząsające uczucia, działa na te uczucia również silnie tło obrazu. Całe zielonkawo-popielate, wygląda jakby zupełnie skłębione, jakby mącone nieustannie jakimś ogromnym niepokojem. Tylko w pobliżu głowy Chrystusa przedziera się z trudem i zaledwie daje się rozpoznać jakiś podłużny skrawek niebieskawego firmamentu. Z tła tego bije ku nam przejmujący krzyk: Oto stała się rzecz straszna! Krzyk tem więcej przejmujący, że wokoło niema żadnej istoty, ani ludzkiej, ani jakiejkolwiek innej. Kilka wzgórz tylko zarysowuje się wokoło podstawy krzyża...

Obrazek ten powstał około roku 1646.[2])

Do kompozycyjnych obrazów należy również wielkie płótno, — największe na tej wystawie nie tylko z obrazów Rembrandta, ale wogóle ze wszystkich obrazów, które były tutaj. Niema dotychczas zgody co do treści obrazu. Dawniej sądzono, że jest to pochód tryumfalny Scipiona Afrykańskiego, dzisiaj udowadnia Veth z wielkiem prawdopodobieństwem,[3]) że jest to konsul rzymski, Quintus Fabius Maximus, który rozkazuje ojcu swojemu zleść przed sobą z konia, gdy przybył do niego w poselstwie od senatu. Prawo nie pozwalało na przemawianie z konia, jeżeli przemawiało się do konsula. Jakoż rzeczywiście, to co nam obraz przedstawia, odpowiadałoby bardzo takiemu jego rozumieniu: starzec w rozmowie z młodzieńcem, który siedzi na koniu. Obaj w stroju żołnierskim i w otoczeniu wojska.[4])

Obraz ten malowany już później, bo w roku 1653, jest tylko szkicem, szkicem jednak ogromnie zajmującym. Wiadomo bowiem,

---

[1]) Hamann: Rembrandts Radierungen, Berlin 1906, str. 141.

[2]) Ciekawy szczegół: obydwa wielkie palce u rąk Chrystusa są po lewej stronie. Veth wyraża pewną wątpliwość, czy obraz ten wyszedł rzeczywiście z pod pendzla Rembrandta.

[3]) W cytowanym już artykule.

[4]) Rembrandt-Rosenberg, str. 322.

że w bogatej spuściźnie Rembrandtowskiej jest zaledwie kilkanaście obrazów, dających nam kompozycyę na większe rozmiary. Jedną z takich kompozycyi, pomyślaną wspaniale, to właśnie szkic niniejszy. Wielka też szkoda, że rzecz ta nie została wykończoną, tylko podmalowaną. Oceniamy płótno nie tylko według tego, czem jawi się dzisiaj przed nami, lecz także według tego, czemby było, gdyby je wykończył artysta. Koloryt brunatno-złoty, tak często spotykany w obrazach Rembrandtowskich, jest tutaj tak ciemnym, że nawet przy bardzo dobrem oświetleniu nie widzimy obrazu w całości, tylko niektóre jego szczegóły, a i te nie zawsze zupełnie wyraźnie. Najbardziej jeszcze wykończoną przedstawia się twarz starca, z siwą brodą, z oczyma pełnemi wyrazu. Na młodzieńca padają już silne cienie, tak, że trudno rozpoznać, jakim właściwie jest wyraz jego twarzy. Widzimy tylko, że dzielnie siedzi na koniu, że w całej jego postaci przebija się ogromna pewność siebie i energia. Koń tylko pod nim ma nieco głowę za sztywną (nie zapominajmy jednak, że obraz jest szkicem), chociaż bystre i roztropne oczy. Obok tych dwóch głównych postaci możnaby wybrać jeszcze kilka osób, zaznaczających się wyraźniej, czy to po lewej stronie, z orszaku konsula, czy to po prawej stronie, poza ojcem. Reszta majaczeje w panujących wszędzie mrokach. Ale za to jaki ruch i życie odczuwa się poza tymi mrokami, zwłaszcza zaś w tym długim wężu wojska, toczącym się z góry po prawej stronie. Tajemniczo świecą ku nam twarze osób, stojących więcej z przodu, wszędzie zaś w całym obrazie, zapalają się połyski na hełmach i zbrojach, wykonane z tem pysznem odtworzeniem rzeczywistości, które cechuje pod tym względem pędzel Rembrandta. A ponad tem wszystkiem wznoszą się sztandary, w tyle zaś mury jakiegoś fantastycznego, olbrzymiego kastellu.

I wreszcie z kompozycyjnych płócien: „Andromeda przykuta do skały“ — mały obrazek[1]) z pierwszych lat działalności artystycznej Rembrandta. Postać kobieca do połowy zupełnie naga (u dołu okrywa ją jakaś chusta, zdobna frędzlami), przykuta za obydwie ręce do skały. Jak wiadomo, Andromedę wystawiono jako ofiarę na pożarcie potworowi dla uratowania kraju od potopu i spustoszeń, które były dziełem tego potworu. U dołu, około Andromedy, nieco roślinności, ze skały zwisa ciemna zieleń jakie-

[1]) Repr. w katalogu, w „L'Art Flamand“ i w lipskiej „Illustrirte Zeitung“ z 5. lipca 1906 r., w numerze poświęconym Rembrandtowi.

goś drzewa czy drzew. Od ciemnej zieleni, a może jeszcze bardziej od ciemnej skały efektownie odbija ciało może za białe, bo aż gipsowo białe; twarz, jak to często bywa u Rembrandta, brzydka, kształty ciała oddane nadzwyczajnie — świetny akt kobiecy. W twarzy wyraz pełen niezmiernie bolesnego oczekiwania tego strasznego nieszczęścia, które ma ją spotkać. A spoczywa on nie tylko w twarzy, ale niejako w całej postawie Andromedy, przenika całe jej jestestwo.

Tak przegląd obrazów Rembrandta skończony. Rzućmy więc jeszcze raz okiem wstecz. Nie ulega wątpliwości, że twórczość Rembrandta przedstawiała się tutaj bardzo ułamkowo, ale i to pewna, że ta wystawa więcej przygodna i okolicznościowa, mieściła w sobie dzieła pierwszorzędne i znakomite. Przypomnijmy tylko w pierwszym rzędzie portret brata Rembrandta, portret Katarzyny Hooghsaet i Konsula rzymskiego, w dalszym zaś rzędzie portrety własne: z „otwartemi ustami“ i z galeryi Lichtensteina we Wiedniu, portrety matki, ojca i siostry, portret własny czy też młodzieńca z r. 1631, portret Petronelli Buys, Chrystusa i Samarytankę, o ile obraz ten nie był zniszczony, i Chrystusa na krzyżu. W innych zaś obrazach, studyach i szkicach, które omawiałem powyżej, tkwił lwi pazur gienialności, zmuszający przypatrywać się im z najwyższem zajęciem.

II.

Drugi dział wystawy Rembrandtowskiej stanowiły oryginalne jego rysunki, umieszczone po części w Muzeum Miejskiem, po części zaś w Uniwersytecie, zwanym tutaj Akademią. Było ich 101,[1]) wykonanych przeważnie piórkiem, czasem kredką czarną lub czerwoną. Większa ich połowa pochodziła ze zbioru znanego holenderskiego historyka sztuki, Hofstede de Groot z Hagi, innych dostarczyli Leon Bonnat, znany malarz-artysta z Paryża, dr. Bredius, Gabinet rycin Muzeum miejskiego w Lejdzie i inni. Pan Bonnat przysłał prócz tego na wystawę osobny album Rembrandta, częściowo tylko znany z reprodukcyi, a zawierający 89 rysunków, robionych również piórkiem lub sepią. Album ten w całości niezmiernie cenny i mieszczący w sobie niejedną rzecz

[1]) Przynajmniej tak przedstawiała się rzecz według 4-go wydania katalogu wystawy.

prześliczną, nie znajdował się w salach wystawowych Akademii, lecz w sali innej pod osobnem zamknięciem, a mogłem go przeglądać tylko dzięki uprzejmości dra Dyserincka,[1]) który wspólnie z drem C. Hofstede de Groot zajmował się urządzeniem i układem działu rysunków, a przedewszystkiem działu reprodukcyi dzieł Rembrandta. Zabezpieczono album ten na czas trwania wystawy na cztery tysiące guldenów holenderskich.

Rysunki Rembrandta, zarówno osobno wystawione, jak znajdujące się w albumie Bonnata, to były szkice i studya, rzeczy więcej lub mniej wykończone lub nawet zupełnie skończone. Przedstawiają one tematy historyczne, tematy wzięte ze starego lub nowego testamentu, z życia zwyczajnego, krajobrazy i zwierzęta. Ktokolwiek przypatrywał się rysunkom Rembrandta czy to w oryginale, czy to w reprodukcyach, ten wie doskonale, jaką roskosz sprawiają dla oka te gienialne pierwsze rzuty, te materyały i studya do przyszłych prac, te czasem skończone arcydziełka. W nakreślonej kilku pociągnięciami pióra charakterystyce twarzy, w tych kreskach, które zarysowują kształt czy to człowieka, czy to zwierzęcia, które zarysowują widoczek krajobrazowy widać rękę arcymistrza, która w zdumienie wprawia widza, uzyskując dziwnie skromnymi środkami nadzwyczajne efekty. Cóż dopiero mówić o rzeczach, które on w zupełności opracował. Jaka pewność rysów a zarazem delikatność wykończenia. Gienialność Rembrandta możemy tutaj tak samo studyować, jak w jego obrazach.

W trzecim dziale wystawy Rembrandtowskiej znajdowały się reprodukcye obrazów, akwafort i rysunków artysty, umieszczone w pięciu salach Akademii Lejdeńskiej. Zebrano tutaj możliwie najlepsze reprodukcye każdego dzieła Rembrandta i uporządkowano je w sposób następujący:

Sala I-sza: Reprodukcye dzieł z lat 1627—1634.
Sala II-ga: Reprodukcye dzieł z lat 1634 (tak) — 1641.
Sala V-ta: Reprodukcye dzieł z lat 1642—1655.

---

[1]) Dr. Dyserinck dowiedziawszy się od służby, że przeglądam szczegółowo dział reprodukcyi Rembrandtowskich, sam zbliżył się do mnie, ażeby udzielić mi z uprzedzającą grzecznością rozmaitych wyjaśnień i wskazówek co do działu rysunków i reprodukcyi. I później listownie przesłał mi łaskawie odpowiedź na kilka zapytań, korzystam więc ze sposobności, ażeby mu na tem miejscu złożyć serdeczne podziękowanie za jego uprzejmość i grzeczność.

Sala III-a: Reprodukcye dzieł z lat 1656—1669.
Sala IV-ta: Reprodukcye portretów samego Rembrandta i jego rodziny.

Dla kogo przeznaczono tę wystawę reprodukcyi? Sądzę, że przedewszystkiem dla szerszych kół wykształconego ogółu. Znawcy Rembrandta, historycy sztuki lub chociażby ci, którzy więcej szczegółowo zajmują się jej dziejami, znają doskonale nie tylko oryginały jego obrazów, lecz także wszystkie Rembrandtowskie wydawnictwa i reprodukcye, zbiory akwafort, rysunków oryginalnych i reprodukowanych. Bardzo pouczająca natomiast jest taka wystawa reprodukcyi dla prawdziwie inteligentnego ogółu, który posiada zamiłowanie do dzieł sztuki, niema jednak ani czasu, ani sposobności do bliższego z niemi stykania się. Dla tej części ogółu takie zestawienie całej twórczości artysty, to nadzwyczajne udogodnienie w pracy zapoznania się z tymże artystą.

Jak wielką i wspaniałą była ta wystawa, można sobie wyobrazić, skoro pamiętamy, że dzisiaj znamy więcej, niż 600 obrazów Rembrandta, nie licząc akwafort i rysunków. W tych pięciu salach uniwersyteckich, z których piąta była ogromną, tonęło się wprost w morzu najrozmaitszego rodzaju reprodukcyi, od olbrzymich począwszy aż do wycinków z pism ilustrowanych, jeżeli (w kilku tylko wypadkach) nie było jakiej innej. Ten, kto przed przybyciem na wystawę nie zapoznał się więcej szczegółowo z twórczością Rembrandta, nabierał tutaj dokładnego pojęcia o tej ogromnej jego płodności, jednej z największych, które zna historya sztuki europejskiej, i miał zarazem wyborny jej przegląd. Można też było przy tej sposobności rozpatrzyć się, o ile posiadamy dzieła Rembrandta w dobrych lub nawet wspaniałych reprodukcyach, co więcej można się było przekonać, że prawie wszystkie jego dzieła, odtworzono rzeczywiście w reprodukcyach, odpowiadających wszelkim wymaganiom dzisiejszego czasu.

Na tem jednak nie poprzestano. Zrobiono tu jeszcze więcej dla tych, którzy chcieliby zapoznać się bliżej z procesem twórczości Rembrandta. Oto obok reprodukcyi każdego obrazu zestawiono razem wszystkie szkice i studya, które artysta wykonał, zanim ostatecznie przystąpił do samego obrazu. Tak naprzykład zestawiono szkice i studya do postaci Chrystusa lub do rozmaitych chwil z jego życia, do Chrystusa uzdrawiającego, przed Piłatem, na krzyżu. Tak samo do innych tematów, jak do Zwiastowania, do hołdu pasterzy, do miłosiernego Samarytanina, do Zu-

zanny w kąpieli i t. d. i t. d. Studyów Iwa było 49 — mały zapewne, ale charakterystyczny szczegół. To też tutaj można było śledzić, w jaki sposób Rembrandt pracował i przygotowywał się do swoich dzieł, o ile pozostawał przy swoich pierwotnych pomysłach lub je później zmieniał, a niekiedy można było dowiedzieć się, zkąd czerpał swoje pomysły i jak je przerabiał do swoich potrzeb. Znający więcej twórczość Rembrandta, wiedzą dobrze, że na podobieństwo rysunku piórem Rafaela, który przedstawia hr. Castiglione, wykonał artysta swój własny portret jako śliczną akwafortę. Postać trupa w ciekawem skróceniu w obrazie państwowego Muzeum w Amsterdamie, niestety częściowo zniszczonym: Anatomia Doktora Deyma, wziął Rembrandt z obrazu włoskiego artysty XV. stulecia, Mantegni, z jego Chrystusa, złożonego do grobu. Na tem poprzestanę. Przytoczyłem te przykłady, ażeby wykazać, do jakich ciekawych wyników prowadzi takie porównawcze zestawienie utworów rozmaitych artystów.

Ogromnie zajmującą była sala IV. Wystawiono w niej, jak już powiedziałem, reprodukcye portretów samego Rembrandta i jego rodziny. Zdumiewającą zaiste była liczba reprodukcyi najrozmaitszego rodzaju portretów twórcy „Straży nocnej" — liczyła ich wystawa 95. Portrety od lat młodych aż do najpóźniejszego wieku: reprodukcye portretów olejnych, akwafort i rysunków. Nie znamy artysty, któryby pozostawił po sobie tyle własnych portretów.

A portrety osób należących do koła rodzinnego tegoż artysty, znowu tak liczne, jak u żadnego innego. Zestawiono tutaj razem wszystkie portrety ojca, matki, brata i siostry, żony Saskii, Hendrickji Stoffels i syna Tytusa. Już przez to samo budzą te osoby w nas ogromne zajęcie, że były one artyście najbliższe, były tem środowiskiem, wśród którego żył i tworzył, że były one, jak Saskia i Hendrickję, źródłem jego szczęścia małżeńskiego i rodzinnego. Czy tylko tem jednak? Jakże silnie łączyły się te tak bliskie sercu Rembrandta istoty z jego działalnością artystyczną. Portrety ich ileż dostarczyły nam arcydzieł! A jakże często miasto zwykłych portretów dał nam artysta wprost obrazy, do których osoby z rodziny były modelami i tematami! Są wypadki, w których poznajemy je od jednego spojrzenia w portretach i obrazach, w innych budzą się wątpliwości i wówczas powstaje spór między znawcami i historykami sztuki. W każdym razie jest to jedno z więcej zajmujących zagadnień, gdy chodzi o Rembrandta, śledzić, jak mogły osoby z jego rodziny wyglądać w rzeczywi-

stości, a co z nich wydobywał gienialny pędzel artysty za pomocą charakterystyki twarzy, a nawet za pomocą strojów, często bogatych i fantastycznych.

III.

Dziwnego wrażenia doznawało się, gdy w tej samej sali po długiem wpatrywaniu się w obrazy wielkiego mistrza przenosiło się wzrok na obrazy współczesnych mu rodaków. „Z hymnu“ zstępowało się wówczas naprawdę „do prostej powieści“. I trzeba było na to jakiegoś czasu, ażeby oswoić się ze zmianą wrażeń, odnaleść w sobie właściwą miarę przy ocenie tych dalszych artystów, a z tą miarą zarazem przyjemność w rozpatrywaniu ich dzieł. A jednak są wśród nich, jak zobaczymy, nazwiska, które zajmują w historyi sztuki holenderskiej wybitne stanowisko.

A więc naprzód Gerard Dou, uczeń Rembrandta, artysta cieszący się rozgłośnem imieniem u współczesnych sobie ziomków i przez nich bardzo ceniony. Wiadomo, kim był on. Był on malarzem obrazków z życia domowego, życia codziennego: odznaczał się niesłychaną starannością w malowaniu szczegółów zewnętrznych: ubiorów, sprzętów i całego tego kramu rozmaitych przedmiotów, który tak często i w takiej obfitości spotykamy na obrazach holenderskich. Ale ta staranność w odtwarzaniu świata martwego była też największą jego zaletą. Twarz ludzką przedstawiał artysta z tą samą drobnostkową starannością, lecz nie zdołał nadać jej ani wybitnej charakterystyki, ani siły wyrazu i dlatego właśnie rzeczy dodatkowe zwracają w jego obrazach taką samą uwagę, lub nieraz większą, aniżeli ludzie.

Uczeń Rembrandta — przypominał to na wystawie w Lejdzie nawet treścią jednego z obrazków. Tytuł jego: Matka Rembrandta. Obrazek ten nasuwa mimowoli porównanie z obrazami mistrza, dającymi nam również wizerunek matki, wywołuje w naszej pamięci owe wspaniałe damy, świetne charakterystyką i wykonaniem, wyposażone dostojnością zarówno w wyrazie twarzy, jak i w przepychu kostyumów. A tutaj? W ciemnawej izbie, siedzi zupełnie zwykła kobieta, pospolitych rysów, w skromnym ubiorze i pożywia się jakąś zupą, czerpiąc ją łyżką z garnka z tem przejęciem się i uwagą, które charakteryzują w czasie jedzenia osoby ze sfery niższej i małego wykształcenia. Izba to prawdziwie gospodarska, przepełniona najrozmaitszymi przedmio-

tami, wykonanymi, jak zawsze u Dou wybornie i z nadzwyczajną wiernością.

Inny jeszcze obrazek tak treścią swoją, jak i sposobem jej przedstawienia, przypomina najzupełniej Rembrandta. Oto komnata, w której widzimy młodego człowieka, siedzącego koło okna i pochylonego nad ogromnym foliantem. Ze skupieniem na twarzy sporządza sobie z niego wypisy. Obfite światło pada zarówno na samego pisarza, jak na większą część komnaty, zapełnionej książkami i globusami. Z boku, po prawej stronie, szerokie schody prowadzą ku górze. Jest to, słowem, jakby powtórzenie dwóch obrazów Rembrandta, noszących tytuł „Filozof", a znajdujących się w paryskim Luwrze. Lecz tam o ileż większe wrażenie wywierają na widza fantastycznie sklepione izby, jakieś ogromne, kręcone schody, wspinające się ku wyżynom, tajemnicze oświetlenie, padające przedewszystkiem na głowy starców. O ileż większe wrażenie wywiera siła zadumania tych starców, wyrażona w wyrazie twarzy i w całej ich postawie.

Obydwa te obrazki, jak również trzeci (doktor operuje głowę wieśniakowi, mającemu bardzo bolesną minę, stara kobieta, stroskana, przypatruje się temu, młody chłopak trzyma naczynie), nacechowany także wszystkiemi powyżej już podniesionemi właściwościami pędzla Dou, mają koloryt bardzo podobny, a jakiś dziwnie zimny. Pochodzi to w obrazkach tych z ogromnie widocznej przewagi barwy niebieskiej, ciemno-żółtej i popielatej.

Znajdowały się tu jednak również obrazki o żywszym i barwniejszym kolorycie. Do tych należało dziewczę (gorsecik czerwony na białej koszuli i biały czepeczek na głowie) w oknie, ze świecą w ręku, to dziewczę z twarzyczką oświetloną, którą Dou malował tyle razy, którą spotykamy także w Hadze, w Amsterdamie, w Berlinie i nie wiem, gdzie jeszcze. Ten okaz lejdeński był zresztą obrazkiem ładnym i malowanym bardzo starannie. Dou lubował sie, jak wiadomo, w przedstawianiu ludzi w oknie Na innym obrazku mamy znowu młodą dziewczynę w oknie, o jasnej, uśmiechniętej twarzyczce, pokazującej kotce łapkę z myszką. Całość jest prawdziwem pieścidełkiem. Mur i obramienie okna, u góry bogato rzeźbione, są ciemno-popielate: na tle tej barwy odbija ogromnie efektownie ciemno-zielony bluszcz, rozpięty ponad oknem. Wszystkie te szczegóły uboczne uderzają takiem wykończeniem (koteczka jednak nie jest nadzwyczajną), że wobec nich blednie twarzyczka dziewczęcia, chociaż malowano ją z równą starannością. Tak to mści się zawsze na artyście drobiazgowość

w wykonaniu szczegółów, jeżeli na przewyższy jej głębia psychologiczna w odtworzeniu ludzkiego oblicza.

Najwięcej barwnym, a przytem harmonijnym kolorytem odznaczał się obraz, którym chcę zamknąć poczet obrazów Dou (jeden pomijam zupełnie z powodu bardzo małej jego wartości). Scena to rodzinna: młoda matka, w niebieskim, futrzanym kaftanie i w czerwonej sukni, daje pierś dziecku, z którem bawi się młoda dziewczyna. A że przy tem występowały tutaj w wysokiej mierze znane nam już zalety artysty w odtworzeniu ubiorów i urządzenia takiego wnętrza pokoju, wyraz zaś twarzy u osób jest dobry, aczkolwiek bez większej siły, więc łącznie z owem dziewczęciem z kotką był to najwięcej zajmujący okaz uzdolnienia naszego artysty.

Bronisław Czarnik.

(Dokończenie nastąpi).

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Ciąg dalszy).

15. listopada. — Podróż pieszo z Rio Claro do Passo de Meio.

Pobyt mój w Rio Claro nie mógł się przedłużać. Pilno mi było do innych osad polskich. Wybrałem dzień, zapowiadający się pogodnie, i miałem zamiar wyruszyć w drogę rano. Tymczasem nie mogłem znaleźć nikogo, ktoby mi chciał wynająć konia lub muła albo ponieść rzeczy: w końcu zdecydowano się, lecz za cenę tak wygórowaną, że na nią zgodzić się nie mogłem. — Kochani rodacy śmieli się ze mnie i dowodzili, że albo z nimi zamieszkam, albo zapłacę jeszcze wyższą cenę. To mnie zniecierpliwiło; gniewnie i ostro wyrzucałem im ich nieuczynność; chwyciwszy w ręce pakunki i aparat fotograficzny, ruszyłem sam pieszo nieznaną stromą drogą w wiadomym mi tylko mniej więcej kierunku ku „Passo de Meio“. Nie uszłem i dwóch kilometrów, kiedy dogoniło mnie aż trzech nieznajomych kolonistów, ofiarując się być mi przewodnikami i zanieść rzeczy zupełnie za darmo lub za „co łaska“. Dwóch uwolniłem po kilku godzinach — nie byli mi po-

trzebni; wystarczył jeden, który wiernie mi towarzyszył aż do zamierzonego w tym dniu kresu podróży.

Pobliże rioklarskie jest górzyste i skaliste. Wyszedłszy z miasteczka drogą „kołową“, wkrótce miałem powód powątpiewać o tem, czy kiedykolwiek wóz tamtędy przejechał i przejedzie. Dla piechura wszakże droga była znośna. Po drodze spotkałem Brazylianina na koniu, proponującego mi zakupno konia swego wraz z siodłem, za 120 milrejsów; spotykałem także naszych ludzi, przebiegających wciąż między koloniami.

Po upływie czterech godzin wszedłem na szczyt jednej z większych gór, zwanej po portugalsku escapa cavallo (ucieczka konia), po polsku Góra Kamienna. Widoków z niej nie podziwiałem: mgła je zasłoniła, spuszczając na ziemię drobny deszczyk. Pod górą i na jej jednym boku ma się rozpocząć kolonizacya prywatna. Pan Marquez, Brazylianin, zamierza ziemię podzielić na działki 25-cio hektarowe i sprzedać osadnikom polskim.

Warunki tego osiedlania zapowiadają się dobrze, bo koloniści w wolnych chwilach przez cały rok będą mieli zarobek przy obcinaniu i suszeniu herbaty Mate. Markesowi też chodzi o liczniejsze osiedlenie się, przynajmniej 50-ciu rodzin, aby mieć ciągle pod ręką rokotnika do wyrobu Maty.

Zeszedłszy z góry, wstąpiliśmy na równinkę, która mi się nie wydała bardzo żyzną. Zwrócił naszą uwagę na niej kaktus olbrzymi, pod którym w chwili, kiedyśmy przechodzili, zesiadł z konia jakiś nieznany nam jeździec w typowym stroju konnych podróżnych brazylijskich — miał na sobie tak zwane „poncho“ wym. ponszo — rodzaj szalu z kwadratową dziurą w środku, przez którą przechodzi głowa, gdy się bierze na siebie to ubranie.

Weszliśmy niebawem do przepięknego lasku herbacianego, przeplatanego drzewem sosny araukaryi. Było to pobliże ujścia rzeki Putingi (Potęgi, jak ją nazywają Polacy) do rzeki Iguassu. Po kilku kilometrach spaceru po zupełnie równym terenie szeroką drogą przez uroczy gaj doszliśmy do miejsca wolnego od drzew. Było to „Passo do Meio“, po portugalsku, t. j. przejście środkowe.

Bezładnie rozrzucone domy bezpiętrowe w stylu architektonicznym, podobnym do widzianych w Porto Amazonas, nie wskazywały wyraźnie, dokąd się mamy udać. Odszukaliśmy wreszcie p. Mazgałłę, który zagadnął mnie po nazwisku z akcentem mowy warszawskim. Zarządza on zakładem suszenia Maty p. Markesa. Gościnny i uprzejmy rodak, który mi oznajmił, że przebywał dłuższy czas w Warszawie, zapoznał mnie szczegółowo z wyrobem

herbaty. Znaczne jej masy ususzone wywożą parostatki i łodzie rzekami Putingą i Iguasu do młynów kurytybskich.

Rzeka Putinga jest spławna kilka mil powyżej swego ujścia do Iguasu; byłaby nią dalej, gdyby ją uregulowano — stanie się to chyba po gęstszem zaludnieniu się okolicy i podniesieniu kultury. O parę kilometrów od budującego się pieca i głównych zabudowań p. Marquesa znajdują się drewniane budynki, zawierające składy Maty, w rodzaju domów mieszkalnych i wenda (sklep, karczma). Robotnicy wszyscy bez wyjątku Polacy.

Od Brazylian, mieszkających tam w pobliżu, doznałem, jak zawsze, szczerej gościnności. Przenocowałem u jednego z nich. Mimo znużenia wcale nie mogłem zasnąć; co się ruszyłem na łóżku, zresztą mocnem i wygodnem, dawał się słyszeć hałas połączony z bujaniem, jak bym był podrzucany przez bałwany. Posłanie to było z liści kukurydzy bardzo szeleszczących i luźnie a obficie zasłanych. Tonąłem w nich jak w oceanie. Gdy zmęczenie przyprawiło mnie o spokój kłody, zasnąłem na uciszonych falach.

16. listopada. — Passo de Meio. Mate bezdymna.

Nazajutrz bogaty Brazylianin, mieszkający o kilka kilometrów dalej, zaprosił mnie do siebie na śniadanie. Podczas spożywania darów Bożych byłem tylko z nim sam na sam. Do stołu usługiwały służące czy córki gospodarza. Pani domu była niewidzialna, aż ukazała się dopiero po śniadaniu, gdy poprosił mnie gospodarz, abym odfotografował go z rodziną. Gdym w głowę zachodził, gdzie to może być ta rodzina, na raz, rzuciwszy okiem w bok, widzę bukiet z kwiatów następujących: siedzącej jakiejś jejmości małej, draśniętej dobrze ząbkiem czasu, w ubraniu czarnem. Kilkoro obok niej dzieci boso, naokoło zaś istnych dla mnie zagadek: niewolnic czy własnej krwi gospodarza. Przed 1888 r. mogły to być niewolnice. Nie grzeszyły urodą: z nich ledwie jedną zgodziłbym się był kupić; zresztą żadnej nie wykradałbym a najmniej panią domu — gospodarz nie domyślał się, do jakiego stopnia były one bezpieczne w mojem towarzystwie.

Gdy się przybywa w gościnę do Brazylianina, tak zwanego Kabokla, widzi się go jedynie samego a, co najwyżej, w towarzystwie mężczyzn. Pan Amazonas wyłamywał się z pod tej re-

guły: nie jest bowiem z pochodzenia żadnym „Caboclo“. Gospodarz zaś, u którego zamieszkałem, postępował wedle zwyczaju brazylijskiego, który podobno jest jak najzupełniej usprawiedliwiony wobec szalonego narzucania się kobietom ze strony najprzyzwoitszych nawet rodowitych Brazylian.

Zrobiłem kilka zdjęć. Przy ostatniem gospodarz przyłączył się do bukietu, jako kwiat główny, szary, jaśniejący przy czarnej róży czy piwonii, do której można było z daleka porównać panią.

Herwa Mate wszędzie znajduje się w brazylijskim stanie Parana, lecz wyjątkowo w wielkiej obfitości w Passo de Meio. Miejsc, po których całemi dniami możesz błądzić w gajach herbacianych, nie brak; lecz są one mało wyzyskane.

Brzegi Putingi i Iguasu obfitują właśnie w to milrejsodajne drzewko. W Passo de Meio tem piękniej się przedstawia ten lasek matowy, że znać w nim pewną kulturę. Doznaje się wrażenia, że ręka ludzka stworzyła uroczy park: tymczasem „kultura“ zasadza się jedynie na obcinaniu liści co 4 lata. Skutkiem tego drzewko, dostające świeżych liści po obcięciu, przedstawia się powabnie z świeżą zielenią wiosenną, jakby sadzone i pielęgnowane ręką ogrodnika: a ręka ludzka właściwie je tylko kaleczy.

Wielkie obszary Mate należą tam do kilku Brazylianów, z których głównym właścicielem jest p. Marques. Ten pojął jasno to, co nie każdy w Paranie dotąd rozumie. Pomyślał o wyrobie herwy Mate bezdymnej. Rutyna brazylijska każe ten cenny produkt wytwarzać w sposób zupełnie pierwotny: oparza się jej liście najpierw w ogniu zaraz po ich zerwaniu: po tej operacyi herbata może czekać kilka dni bez zatracenia swej barwy zielonej, a oparzenie przytem uwalnia ją od wszelkiego robactwa, zalegającego liście świeże; następnie na czterech drągach wnosi się kwadratowe rusztowanie z trzcin, kładzie się na nie Mate i pod niem pali się ogień. Gdy drzewo, które się pali, jest sosnowe, zwłaszcza sęki, wtedy silny dym wędzi tę herwę Mate, jak szynkę. Jest przesąd brazylijski, że wędzenie herbaty Mate ogniem z jej własnego drzewa (matowego) nie przydymia jej. Jest to fałszem i, aby istotnie była bezdymną, pan Marques pomyślał o piecu do jej suszenia: polecił zaś wykonanie myśli swej p. Mazgalle, który kończył właśnie budowę specyalnego pieca swego pomysłu.

Całe urządzenie polega na tem, że ogień pali się pod spodem z jednego boku, a dym ogrzany idzie między dwoma murami naokoło całego pieca dołem, do góry, górą i znowu na dół, wychodząc drugim bokiem. Do wnętrza wjeżdża spory wóz jakby

wagon, pełny świeżych oparzonych liści herbacianych i w 4 godziny są one zupełnie wysuszone. System ten jest lepszy, lecz prawdopodobnie ma tę wadę, że herbata zbytnio się dusi i wilgoć jej nie paruje górą, jak to się dzieje przy paraguajskim sposobie suszenia, bardziej prostym i prawdopodobnie najlepszym. W każdym razie piec pp. Marquesa i Mazgałły, oznaczał postęp w suszeniu, nieznany dotąd w Paranie.

O dodatniem działaniu Hervy Mate na organizm ludzki, miałem sposobność przekonać się tam na miejscu w Passo de Meio. Przedewszystkiem wydała mi się bardzo smaczną, co pochodziło ztąd, że nie miała owego przykrego zapachu dymnego, który dawał się odczuwać w każdej innej. Ciągłe, a nawet nadmierne używanie jej przez dzień cały bynajmniej mi się nie sprzykrzyło i nie zaszkodziło. Przeciwnie, czułem jej wpływ dobroczynny, przyjemne podniecenie nerwów, błogi spokój, ochotę do spokojnego i energicznego działania, pokrzepiający sen.

17. listopada. — Podróż konno z Passo de Meio do Mateusza. Deszcz. Runięcie w przepaść. Wenda Gaspara.

Około południa w niepewną pogodę wyruszyłem do Mateusza. Konia z rzędem pożyczył mi pewien uprzejmy Brazylianin: odprowadzono mnie kilka kilometrów do rzeki Putingi i przeprawiono przez nią. Przeprawa zaś polegała na tem, że konia rozsiodłano, mnie, siodło i rzeczy powierzono łódce, a ktoś wpędził rozsiodłanego rumaka do wody z wysokiego i ślizkiego brzegu. Szlachetne stworzenie płynęło za łódką tak, że mu tylko łeb widać było. Przybiliśmy do brzegu przeciwległego. Z wielką biedą wysiadłem a z jeszcze większą wyniosłem siodło i rzeczy po błotnej ślizgawicy. Szczęściem drzewa i krzaki nadbrzeżne, których się chwytałem, drapiąc się pod górę wzniosłego wybrzeża, zaradziły niebezpieczeństwu stoczenia się w wodę. Rumak zaś, pomimo biegłości w pływaniu, napił się poddostatkiem wody i rad wydobył się na brzeg ślizgi, parskając i potykając się jak po gołoledzi. Stanął wreszcie spokojny, jakby skamieniał i ani myślał uciekać naprzód lub wracać do domu przez wodę. Dał mi się osiodłać, jak manekin.

Pożegnawszy łaskawych towarzyszy, którzy mnie odprowadzili do rzeki, puściłem się sam w drogę wedle podanych mi wskazówek. Po pewnym czasie droga zaczęła się kręcić, jechałem

gąszczem leśnym na przemian pod górę i z góry, gdy nagle lunął straszny deszcz, iście podzwrotnikowy. Miałem na sobie płaszcz nieprzemakalny, który osobę moją jako tako ochraniał; lecz aparat fotograficzny i zawiniątko z rzeczami, umieszczone z tyłu siodła, były narażone na zupełne przemoknięcie. — W takim stanie rzeczy wolałem piersi swe odsłonić, a zabezpieczyć rzeczy, okrywając je płaszczem. — Przez dwie godziny burza szalała bez litości. Nigdy nie użyłem w życiu mem tak długiej kąpieli natryskowej. Mimo dnia bardzo jasnego widziałem tylko na kilka kroków przed sobą, a to z powodu gęstości opadu deszczowego. Koń mój nawet miał dosyć prysznicu i starał się gwałtem wskoczyć w gąszcz leśny; wiódł go tam instynkt zachowawczy, który mu jako ochronę wskazywał dach z konarów leśnych. Ale ciągłe grzmoty ostrzegały mnie, abym nie poddawał się instynktowi końskiemu, ani nawet nie pomykał kłusa, lecz wciąż tylko stępa jechał. Zapamiętałem z praw fizyki, że ucieczka sprawia ruch powietrza i sprowadza weń wyładowanie elektryczności, a nie miałem ochoty dać się zweglić przez piorun parański w poetycznych gajach herbacianych.

Po paru godzinach ulewa ustała nagle tak, jak nastała. Znalazłem się na wysokiej górze bez najmniejszej pamięci, czy podczas deszczu z grzmotami postępowałem był z góry, pod górę, lub po równinie. Widok odkrył mi się bardzo piękny. Widać było daleko równiny i góry, pokryte cudną majową zielonością. Była to świeża barwa zielona, wpadająca lekko w żółtą taką, jaką w Europie po zimie pokrywają się drzewa, puszczające liście z pączków.

Droga wiodła dalej nad głęboką przepaścią. Podobno wielu ludziom kręci się w głowie, gdy przechodzą w tem miejscu; mnie szczęściem, ani morska choroba, ani taki zawrót głowy nie dotknęły. Ale ku memu przerażeniu spostrzegam, że droga skalista prowadzi niemal prosto w przepaść. Koń stanął, a krótki mój wzrok dopiero po niejakim czasie spostrzegł, że to jest jednak „droga“ w dalszym ciągu, ale znacznie więcej spadzista, która z większego oddalenia wydawała mi się przepaścią. O powrocie pod górę nie mogło być nawet mowy wobec ślizgiej powierzchni drogi po deszczu; trzeba było postępować naprzód, wyginając się mocno w tył, kopać rumaka piętami i bić go szpicrutą z herwy Mate. Postawa moja musiała być bohaterską, gdyż moja lewica była na wysokości szyi mej i trzymała cugle, a prawica wznosiła

do góry miecz herbaciany, spadający od czasu do czasu na tyły końskie.

Spoglądałem w dół z podniesioną głową dumnie, niby wódz po zwycięstwie, a właściwie nie mogąc inaczej, by coś przed sobą lub niżej zobaczyć, a nie spaść koniowi przez łeb. Chciałem już szczerze zesiąść, lecz w tej pozycyi było i to niemożebnem. Rozmyślałem więc jak zeskoczyć, gdy wtem najniespodziewaniej i nie mogąc sobie zdać sprawy dla czego, wywróciłem koziołka w bok na prawo, jak skoczek cyrkowy, i znalazłem się odrazu znacznie poniżej, jak wypukłorzeźba na ścianie skały. Cugli nie wypuściłem z lewej ręki i przez to silnie w dół pociągnąłem konia, który nie chciał wcale skoczyć w przepaść za mną, lecz sekundę tylko mógł się oprzeć szarpnięciu gwałtownemu spadającego ciężaru 200-funtowego mej osoby. Wstrzęsło mi się i zakotłowało w głowie — prawdopodobnie uderzyłem nią o skałę — straciłem przytomność, zupełnie nie wiedziałem, co się dzieje ze mną. Zbudziłem się po chwili, jakby ze snu, na trawie świeżej, majowej, wilgotnej. Podniósłszy głowę, ujrzałem tuż pod nosem tylne kopyto końskie i za chwilę dostrzegłem obok siebie na ziemi aparat fotograficzny, rzeczy swe i siodło. Nogi końskie drżały, lecz stały w miejscu, jak wryte: zwierzę nie ruszało się i mógłbym przypuścić, że skamieniało, gdyby ze wzruszenia się nie trzęsło.

Skończyła się góra. Znalazłem się na ślicznej łące odświeżonej deszczem, który przed chwilą padał. Urocze gaje otaczały mnie w około. Uczuwałem w sobie nastrój dziwnie poetyczny: zachciało mi się pisać o wiośnie i zieloności, lecz w tej chwili nawet gieniusz Mickiewiczowski nie podołałby zadaniu takiemu, nie tyle skutkiem braku przyrządów do pisania, ile z powodu silnych łamań w kościach.

Trudno mi było podnieść się, lecz w końcu zdobyłem się na to. Położenie moje było opłakane; dzień się kończył niezadługo, a zaraz potem miała nastąpić noc bez księżyca, ciemna jak otchłań i tajemnicza, a tu niepodobna konia osiodłać, bo i Salomon zerwanym popręgiem nie umocowałby siodła na grzbiecie końskim. Parę razy zdołałem wskoczyć nań i zachować istnie cyrkową równowagę, by ujechać kilkadziesiąt kroków, a w końcu spaść wraz z siodłem i rzeczami.

Taki sposób dosiadywania rumaka zniechęcił mnie do dalszych prób: włożyłem wszystko na niego i prowadziłem opierającego się za cugle.

Co kilkadziesiąt kroków następnie starannie ułożony pakunek z siodłem spadał na przemian na prawo lub na lewo; nużyła mnie moralnie i fizycznie ciągła jednostajność zbierania spadających z konia rzeczy. Jazda taka była coraz uciążliwsza przez to, że uczuwałem zmęczenie w rękach. — Coraz robiło się też ciemniej.

Spotkany po drodze jeździec, dziko wyglądający Brazylianin, nie umiał czy nie chciał wskazać mi, kędy droga prowadzi do Mateusza. Znikł mi z oczu i pozostawił wrażenie, że może ma jakieś nieuczciwe zamiary względem mnie. Zaraz strzeliłem kilka razy z rewolweru w powietrze, żeby nie myślał, że jestem bezbronnym.

Nie mogłem nawet marzyć o przybyciu tego dnia do Mateusza; droga wśród boru zaledwie się zarysowywała. Sam nie widząc już prawie nic, gnałem rumaka przed siebie; ten lepiej oryentował się w położeniu i szedł właściwą drogą. Od czasu do czasu zabiegałem mu ją, by ubierać go w upuszczone siodło z rzeczami. Gdyby nie straszna wilgoć po deszczu, układłbym się na noc gdzie w krzakach; lecz trawa była mokrusieńka, a co było trącić drzewo lub krzak, spadał rzęsisty natrysk, jakby w zakładzie hidropatycznym.

Podróż w takich warunkach była istną męką. Wola gnała naprzód ciało me omdlewające — nie było bowiem wyjścia — należało postępować tak, choćby noc całą w egipskich ciemnościach. Od czasu do czasu padałem na twarz, zawadzając o korzeń lub gałąź i jasność rajskich świeczek stawała przedemną — wreszcie jakaś świeczka uporczywie to mi jaśniała, to znikała, to znów świeciła wciąż w tem samem miejscu czaszki. Wzbudziło się we mnie podejrzenie, że może to punkcik jasny po za czaszką; znikał mi on bowiem, gdy oczy ręką przesłaniałem.

Otucha wstąpiła mi do serca — musiało to być mieszkanie ludzkie i prawdopodobnie karczma pana Gaspara. Byłem tedy uratowany. Z wielką zwinnością parę razy jeszcze zebrałem spadające siodło z rzeczami i znalazłem się przed zabudowaniem oświeconem. Zostawiłem konia o kilkanaście kroków w tyle nieprzywiązanego i zaszedłem przez otwarte podwoje do wendy.

Powitał mnie i przyjął gospodarz z wykwintną grzecznością. Kazał konia wpędzić do miejsca ogrodzonego, zwanego w Brazylii „potreiro", rzeczy znieść pod dach, popręg naprawić. Kawę zapijałem wkrótce w towarzystwie jego i kilku innych Brazylianów i Niemców. Rozmowa szła mi jeszcze koślawo po portugalsku.

Dowiedziałem się jednak, że jestem o trzy godziny jazdy od Mateusza i że ludzie, znajdujący się w karczmie, to werbownicy indyan parańskich, zwanych Korroados, na wystawę Berlińską handlowo-geograficzno-etnograficzną, mającą się odbyć w 1896 r.

Domyślając się, że jestem mocno utrudzony drogą, gospodarz odprowadził mnie do pokoju sąsiedniego i wskazał łóżko. Spocząłem na upragnionym twardym tym, jak posadzka, meblu. Sen nie przychodził, bo go spędzał zimny zefirek, przemykający swobodnie przez szpary ścian. Nigdy nie wycierpiałem tyle zimna, co w gorącej Brazylii. Była to pierwsza noc przepędzona w ciągłych dreszczach a później było ich wiele więcej.

18. listopada. — Przybycie do Mateusza.

Ze świtem męka moja się skończyła: zjawił się gospodarz, gorąca kawa czarna i koń mój osiodłany. Pan Gaspar takie miał wykwintne maniery, że nie śmiałem spytać się go, ile mu jestem winien za nocleg. Podobno był to błąd z mej strony.

Ruszyłem dalej w podróż około godziny 6-tej rano. Po drodze spotkałem kilkudziesięciu ludzi naszych galicyjskich, powracających z robót przy budowie kolei. Gorzko się skarżyli, że im nie dotrzymano umowy i nie wypłacono tego, co im się należało. Oskarżali przedsiębiorcę czy agenta Polaka, że ich zwiódł. Podobno ajent był niewinny i jego samego za pracę nie wynagrodzono, on zaś nie mógł im z własnej kieszeni wypłacić robocizny. Słyszałem jednak głosy, przeczące jego niewinności.

Po paru godzinach wreszcie wjechałem przez drzwiczki ogrodzenia do kawałka polskiej ziemi. Puszcza zmieniła się w kraj ludny. Był to Mateusz. Upłynęła jednak jeszcze godzina, nim wjechałem do „miasteczka“. Co chwila mijałem domostwa i spotykałem ludzi na prostej szerokiej drodze.

Przeważna część działków, zajętych przez kolonistów naszych, jeszcze pokryta jest lasem. Tuż przed miasteczkiem jest przestrzeń bezdrzewna, dalej łąka i pagórek przed 5-ciu laty porosły jeszcze lasem dziewiczym, a teraz pokryty zabudowaniami, dającemi początek miastu. Minąłem po prawej stronie jakąś bramę tryumfalną z kilkoma chorągwiami i napisem S. K. Nie domyślałem się, w jakim celu ją wzniesiono.

Zajechawszy do domu pana Flizikowskiego, odrazu wpadłem w otoczenie swojskie i serdeczne ludzi, mało mi dotąd znanych.

Dowiedziałem się, że mnie oczekiwano przed tygodniem z przeciwnej strony od Kurytyby i Rio dos Patos a nie od Rio Claro. Zbudowano wielką bramę tryumfalną, przyozdobioną białym orłem i memi inicyałami S. K. Obwieszona ona była cała polskiemi chorągwiami i barwami z dodatkiem chorągwi brazylijskiej i hiszpańskiej. Jest bowiem w Mateuszu dziesięć rodzin hiszpańskich i tyleż czeskich. Gdy nadchodził statek, na którym miałem przybyć, zapytano się rakietą czy jadę — żadnej odpowiedzi nie było. Orkiestra stała przy brzegu w porcie, aby huknąć głośne akordy pieśni na powitanie. Skutkiem przybycia mego od strony odwrotnej, uroczystego przyjęcia nie było. Brama tryumfalna przetrwała tydzień, oglądaliśmy ją z bliska — przeszedłem przez nią w towarzystwie kilku osób ku rzece i z powrotem.

ROZDZIAŁ V.

Mateusz. Agua Branca. Rio dos Patos. Palmeiro. Kurytyba. Sprawy polskie. Dostojnicy parańscy. Polska inteligencya duchowna i świecka. Wyjazd z Kurytyby.

Od 17. listopada do 6. grudnia. — Osada Mateusz. Pobyt i wycieczki.

Nazajutrz dowiedziałem się, że po raz ostatni oglądałem swoją bramę tryumfalną. Pijane żołdactwo brazylijskie pono w czterech, rozbiło ją w nocy i podarło w kawałki wszystkie chorągwie, nie oszczędzając brazylijskiej. Sami Brazylianie byli oburzeni tym postępkiem i wytoczyć mieli procesy przeciw wojakom o znieważenie chorągwi swego państwa i narodu. Polacy Mateuszowscy, źle widziani u rządu z powodu udziału swego w rewolucyi 1893 r., musieli milczeć, choć wiedzieli, że to przeciwko nim jedynie dokonano czynu „bohaterskiego“.

W parę dni po moim przybyciu do Mateusza, odbyło się Walne zgromadzenie Towarzystwa imienia Kazimierza Puławskiego w lokalu szkoły polskiej. Zebrało się pareset osób członków i nieczłonków. Witano mnie uroczyście. Miałem w zamian coś w rodzaju przemowy, a raczej opowieści o stosunkach naszych w Europie: byli tam bowiem słuchacze ze wszystkich dzielnic. Opowieść bardzo się przedłużyła skutkiem różnych interpelacyi

i zapytań. Przedstawiłem się jako wysłannik Polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego, mówiłem o łączności duchowej, o łączeniu usiłowań w sprawach ekonomicznych, o założeniu z grona samych kolonistów rolników spółki przewozowej, któraby między innemi rzeczami sprawiła lub zbudowała dla swego użytku a nie dla innych (jak to miało miejsce) wielką łódź („lanszę“) i nią niezależnie od kupców pośredników wywoziła własną herbatę Matę i własne płody, a sprowadzała sobie potrzebne towary także bez pośrednictwa kupców i przekupniów miejscowych.

Niektóre osobistości zabierały głos w sposób nieco bezwzględny: światłemu sekretarzowi Towarzystwa imienia Puławskiego, p. L., emigrantowi z 1848 roku, wydawały się moje poglądy zbyt radykalne. Sam jest bowiem kupcem. Zamyślił się mocno. Lecz nie naruszyła się ogólna harmonia. Rozeszliśmy się wszyscy w usposobieniu dobrem.

Rady, wygłaszane podczas tego wiecu, nie padły na glebę nieurodzajną. Nazajutrz wezwało mnie kilkunastu kolonistów, abym sporządził im statuta spółki przewozowej i spożywczej.

Koloniści Mateuszowscy zrobili na mnie wrażenie ludzi w niezłym bycie. Kolonia została założona w 1890 r., miała więc kilka lat istnienia. Mieszkańcy jej przeszli już byli największe troski i biedy początkowego osiedlania i z małym wyjątkiem jeszcze nie doszli do zamożności pieniężnej. Należeli przeważnie do proletaryatu miejskiego, porwanego gorączką emigracyjną z Królestwa Polskiego, a więc mieli słabe pojęcie o gospodarstwie rolnem. Są oni wszyscy w stanie przejściowym a, jakkolwiek nie cierpią biedy i obfitują w rzeczy przez siebie wyprodukowane, mają jednakże wielką trudność w ich spieniężaniu. Korzystają z tego usłużni kupcy wszelkiej narodowości i zakupują od kolonistów wszystko jak najtaniej, a płacą im towarem, czyli zarabiają podwójnie na kupowaniu od nich płodów rolnych i sprzedawaniu im towarów.

Koloniści czują dobrze tę zależność swoją i chcieliby się wyswobodzić od niej, dla tego też tak znakomicie mnie rozumieli, gdy im mówiłem o sprawach handlowo-geograficznych i zaraz porwali się do założenia spółki spożywczej handlowej. Zakiełkowała też u nich myśl utworzenia towarzystwa rolniczego.

Kolonia Mateusz ma mniej więcej 300 rodzin polskich (w tem nieco rusińskich), z 10 hiszpańskich i około 10 czeskich. Składa się z czterech ulic, schodzących się w miejscu przeznaczonem na miasteczko, które istotnie wzrasta nie tylko nominalnie na wzgó-

rzu przy rzece Iguasu. Przed kilku laty był tam las dziewiczy araukaryjny, obecnie stoją drewniane siedziby ludzkie blisko siebie w porządku ulicznym. Powstały kościół, hotele, domy kupieckie, poczta w jednym z nich. Rozchodzą się od niego cztery drogi, obsadzone przez kolonistów: jedna nad rzeką, zwie się Iguasu (przezwana Ignacewem), druga Cachoeira (przezwana Koszyce), trzecia Taquara (przezwana Trzcinów), oraz czwarta, której nazwy nie pamiętam. Jak prawie wszędzie w nowych koloniach, domki i zabudowania kolonistów odległe są o ćwierć kilometra mniej więcej jedne od drugich. Każdy bowiem otrzymał obszar ziemi 25 hektarów nad drogą.

Drogi i działki są ogrodzone płotami z drzewa. Widziałem też granice o głębokich rowach, (jest to najlepsza ochrona od bydła), oraz zaznaczone kopcami i znakami na żywem drzewie boru. Chałupa drewniana w naszym klimacie wyglądałaby na nędzną i bardzo prowizoryczną; w tamtejszym zaś jest zupełnie wystarczającą, przewiewną, suchą, zdrową. Doskonale tedy zrozumiałem, dlaczego dopiero po kilkunastu latach pod Kurytybą koloniści powystawiali sobie murowane i kamienne domy.

Drewniany taki domek bywa różnej wielkości i stylu nieokreślonego — przeważnie to czworak, t. j. składa się wewnątrz z czterech pokoi. Zwykle kuchnia stoi obok przybudowana lub samoistnie o dachu i ścianach trzcinowych.

Także w pobliżu znajduje się piecyk do wypiekania chleba pod daszkiem, oraz chlewki i obórki, wszystko bardzo małe. Poprzegradzane to wszystko jest płotami drewnianemi, składającemi się z pali, wbitych w ziemię co kilka i kilkanaście kroków, i z drągów, przymocowanych poziomo do nich w dwa lub trzy rzędy.

Bydła, nierogacizny, a zwłaszcza kur, jest podostatkiem u każdego.

Uprawiają koloniści nasi żyto, ziemniaki, czarną fasolę, kukurydzę i warzywa europejskie, o ile dostaną ich nasienia. Płody rolnicze byłyby w daleko większej ilości wytwarzane, gdyby mogły być lepiej spieniężane.

Wprost nieopłaca się wysilać w kierunkach powyższych, bo lepszy zarobek jest przy obrabianiu herbaty Mate. Jest poniekąd rzeczą smutną ten łatwy i doraźny zarobek, polegający na jednym do dwóch milrejsów od wyrobienia, t. j. ścięcia, wysuszenia i pokruszenia „arroby“ czyli 15 kilo. Przez to pola nie są obrobione, postępu pracy nie widać, nie trudzi się nikt dla przyszłości z ograniczeniem używania w teraźniejszości, lecz pracuje dla tejże z krzywdą

przyszłości. Dla tego też lepiej wyszło Rio Claro na tem, że w niem mało jest Maty; prześcignęło ono może już teraz w dobrobycie Mateusz.

W każdym razie jest co jeść w Mateuszu. Nie brak kukurydzy, ziemniaków, fasoli czarnej, żyta, mielonego w młynie o olbrzymim kole podsiębiernym p. Bodziaka na Koszycach (Cachoeira), mięsa wieprzowego, wołowego, kur i t. d. Przy obiedzie wszyscy, mnie nie wyłączając, najchętniej sięgali po fasolę czarną.

Na kolonii mateuszowskiej poza „miastem" nie ma Brazylian. Ale za to znajdują się, jako zamożniejsi kupcy i urzędnicy w „mieście", dokąd też przybywają w znacznej liczbie z dalszych okolic lesistych. Osady polskie są za młode, aby rozpowszechniły język polski pomiędzy nimi. Ale nie radziłbym tajemnic stanu wygłaszać w ich oczach po polsku. Wielu rozumie i biegle włada naszą mową.

Polacy dość szybko wyuczają się po portugalsku, tak dzieci, jak dorośli. O małżeństwach mięszanych nie słyszałem, a brak ich jest może ochroną przed wynarodowieniem.

Przeszłość Mateusza choć tak niedawna, już zdołała być burzliwą. Wybuch powstania 1893 r. przeciw rządowi brazylijskiemu, a właściwie przeciw rządzącemu stronnictwu wojskowemu, ludność brazylijska i koloniści europejscy powitali sympatycznie. Polacy odznaczyli się zaraz w tym ruchu. Nie wszędzie jednak przyszło do ujawnienia tych uczuć. W Mateuszu zaś zaznaczyli swe sympatye wyraźnie pierwsi w Paranie. Tu się utworzył powstańczy oddział polski pod dowództwem pułkownika Antoniego Bodziaka, Jana Koźmińskiego i Dąbrowskiego.

Koźmiński świeżo przybył w 1893 r. do Mateusza, zawezwany jako nauczyciel przez panów Bodziaka, Flizikowskiego i Nadolnego. Z samego początku uniosła go szlachetna krew gorąca, pragnął ująć się za krzywdy rodaków. Tu miały miejsce aresztowania wybitniejszych osobistości polskich, jak ks. Władysława Smołuchy, Lucyana Stencla Tokarskiego, Bodziaka, przewiezienie ich następnie do Kurytyby i uwięzienie kilkutygodniowe pod ciągłą grozą wymordowania. Tu wreszcie dosięgła kolonistów zemsta rządowa, gdyż ulegli rabunkowi i biciu. Jeszcze obecnie pokazują w Kurytybskiem muzeum, wogóle dość nędznem, konfederatki czerwone z białym barankiem. Zdobyło je wojsko brazylijskie w Mateuszu na kobietach w domach pod nieobecność mężczyzn. Muzeowi kurytybskiemu jakiś zuchowaty oficer brazylijski ofiaro-

wał je, jako zdobyte na powstańcach mateuszowskich, którzy w ruchawce wcale nie nosili rogatywek.

Pobyt mój w Mateuszu przeciągał się. Wypadła uroczystość w sąsiedniej kolonii, Agua Branka (Woda Biała). Wybraliśmy się częściowo konno, częściowo powozem. Tym ostatnim środkiem przewozowym jechała starszyzna: ksiądz Przytarski, p. Flizikowski, p. Nadolny i ja. Przy kończącej się już granicy mateuszowskiej Trzcinowa (Takwary), którędy jechaliśmy, stoją zabudowania i tartak p. Nadolnego na odległości 6-ciu kilometrów od miasta Mateusza. Czekało nas przyjęcie ze strony gospodarstwa domu. Rakiety (zwane z portugalska fogety) puszczono pod obłoki z chwilą naszego przybycia. Nastąpiły śniadanie i zwiedzanie tartaku, który pokaźnie się przedstawia. Początkujący przemysł wzmaga się w gospodarnej dłoni właścicieli, bo Mateusz i Agua Branca się zabudowują w swych ośrodkach miejskich. Zapotrzebowanie desek jest tedy coraz większe.

Widzieliśmy u Nadolnych obok uroczych córek domu kilku młodych ludzi w konfederatkach czerwonych o białym baranku. Głównym bohaterem przyjęcia był czynnik świecki t. j. moja osobistość. Za to w przyjęciu w Agua Branca, które w parę godzin potem nastąpiło, królowała niepodzielnie osobistość duchowna, tj. wielebny ksiądz P.

W południe, żegnani ogniami sztucznemi, pojechaliśmy dalej. Przed nami, z boku i za nami pędził konny oddział kolonistów, niby bandera włościańska.

Przejechawszy milę drogi, dojechaliśmy do Aqua Branca. Przestrzeń ta leśna, nie skolonizowana, należy do osób prywatnych, zamyślających ją pono rozsprzedać kolonistom naszym. Wtedy nastałoby połączenie Mateusza i Aguy Branki w jedną znaczną kolonię polską.

W Agua Branca, którą przezwano z polska Abramką czy też Zabramką, w środku kolonii, przeznaczonej na miasteczko, czekał nas tłum polskiego ludu. Były bramy tryumfalne, rakiety w wielkiej ilości wzbijały się wysoko pod pogodne niebo, trzykrotnie pękając każda.

Przyjechała na przyjęcie księdza w deputacyi bandera kolonistów z Rio dos Patos o sześć mil od Zabramki pod przewodem 2 mych dobrych znajomych.

Po smacznym obiedzie o dobrych trunkach nastąpił uroczysty pochód pod górę do kościoła. Ksiądz Przytarski, mając mnie przy

boku, postępował wzdłuż drogi ogrodowej, przystrojonej po obu stronach świeżo zamkniętemi w ziemię gałęziami, dzieweczki postępowały przed nami, siejąc nam pod stopy kwiaty i zieleń. W drewnianym kościółku na wzgórzu, zkąd piękny roztacza się widok na okolicę, śpiewano bez przerwy nabożne pieśni polskie.

Przyjęcie po dłuższej nieobecności kapłana polskiego było serdeczne. W 1893 r. bowiem zaaresztowano w Mateuszu księdza Władysława Smołuchę w samych początkach zamieszki rewolucyjnej. Od tego czasu ani on nie mógł powrócić, ani żadnego innego księdza rodaka nie dopuszczał biskup kurytybski do Mateusza i Aguy Branki.

Przed kościołem potworzyły się liczne gromadki. Chodziłem od jednej do drugiej, przedstawiając konieczność utworzenia szkoły, sprowadzenia nauczyciela. Słuchano mnie chętnie, prócz jednego, który przypuszczał, że ja chcę osiąść, i uznawał, że przyszły nauczyciel dosyć będzie miał pensyi 300 milrejsów (300 kor.) dochodu rocznego.

Jak dotąd, mało jest tam ludzi zamożniejszych i inteligentniejszych. Najznaczniejsza tam „wenda“ znajduje się w ręku Włocha, małego, czarnego, uśmiechającego się, usłużnego.

Biała Woda (Agua Branka) skolonizowaną została prawie wyłącznie przez wychodźców z Królestwa. Składa się ona z dwóch głównych ulic, mieszkańców ma trochę więcej niż połowa Mateusza, tj. rodzin jest tam blisko 200, a więc około 1.000 ludu.[1]) Środek kolonii jest na drodze głównej z Mateusza do Tryumfo, Rio dos Patos i Palmeiry.

I tu, jak w Mateuszu, zerwał się wicher rewolucyjny w r. 1893. Kolonia ta dzieliła losy z Mateuszem, z którym właściwie pod wielu względami tworzy jedną całość. Opowiadano mi wiele szczegółów prześladowań kolonistów naszych ze strony wojska brazylijskiego.

Powróciliśmy do Mateusza po deszczu, który spadł nad wieczorem. Wicher pochylił i pokrzywił wiele sosen (piniorów) wysmukłych i prostych dotąd, jak świece.

---

[1]) Liczy się przeciętnie 5 głów na rodzinę.

7.—8. grudnia. — *Podróż z Mateusza do Rio dos Patos.*

Po kilkudniowem daremnem wyczekiwaniu parostatku, który nie wyruszał pod wodę do Rio dos Patos z powodu opadnięcia wód, postanowiliśmy puścić się konno do miasta Palmeiry a ztamtąd koleją do Kurytyby. Wycieczka przyszła do skutku na grzbietach zwierząt pana Flizikowskiego, który mi towarzyszył, przybrawszy jednego młodego kolonistę z Agua Branca.

Rano z Mateusza pomknęliśmy przez Agua Branca do miasteczka brazylijskiego Tryumfo, dokąd dojechaliśmy około 4-tej godziny po południu. Droga była górzysta, lecz niezła. Tryumfo znajduje się w okolicy pozbawionej zupełnie drzew w bezpośredniem swem sąsiedztwie miasta i falującej pagórkami. — Zdala widać miasteczko; przybliżając się do niego, miałem złudzenie, że jestem na Podolu: taki sam teren o łagodnych, lecz nie bardzo niskich pagórkach i zdala miasteczko bardzo podobne do wsi podolskiej. Z bliska jednak znika złudzenie. Tryumfo tworzy jedna długa ulica z chałup malowanych różnemi barwami: zieloną, czerwoną, białą, przez co, dopóki się między nie nie wjedzie, wyglądają one na murowane domy wysokiej sztuki budowniczej. Są to jednak wszystkie bez wyjątku chaty drewniane.

Spoczęliśmy na krótko w największej tamtejszej „wendzie“, u brodatego i uprzejmego brazylianina. Częstował nas kawą i twardemi sucharami, czyli zeschłemi bułkami pszennemi, które wcale nieźle nam smakowały. Bułek i chleba nie wypiekają na głębokiej prowincyi — sprowadzają je z większych miast do sklepów razem z cukrem i pieprzem.

Miasto to jest siedzibą administracyjną, od której zależy dotąd jeszcze Mateusz. Lada chwila jednak Mateusz ma się wyzwolić od tej zależności i stać taką samą stolicą administracyjną jak Tryumfo, gdzie żywioł brazylijski przeważa zupełnie — z małą domieszką Niemców i Polaków.

Dalsza droga nasza była urocza — jechaliśmy przez cudnej piękności gaje, niby przez niekończącą się kombinacyę olbrzymiej oranżeryi i parku angielskiego. Botanik miałby obszerne pole do studyów i nie wyjechałby z lasu. Objaśniano mi nazwy i użytek nieznanych mi drzew. Pięknie pachnący sasafras idzie tam wraz z mahoniami i cedrami do ognia w piecu, bo się dobrze pali: to

samo dzieje się z drzewami cynamonowymi. Przysłowie polskie: „palenia cynamonem w piecu“, nie miałoby żadnego zastosowania, tak tu pospolite są drzewa cynamonowe: są one różnej woni i barwy, jako to: czerwone, czarne; to ostatnie cuchnie brzydko i nieprzyzwoicie się nazywa (canela da merda).

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Ciąg dalszy).

Quant à la manière de lever les taxes elle est très imparfaite et même arbitraire, quoique sujette à des très grandes formalités. Le congrés fait le partage entre les Etats, chaque etat entres les comtés, chaque comté entres les districts, qu'on appelle precincts et dans chaque Precinct il y a des assesseurs qui taxent les citoiens, et des collecteurs qui reçoivent l'argent, et qui le rendent au Superrisor. Les taxes du Connecticul sont levés sur l'etat que chaque citoien donne de sa fortune.

Co do sposobu pobierania podatków, to jest on bardzo niedoskonałym i nawet arbitralnym, chociaż podległym wielkim formalnościom. Kongres robi dział miedzy stanami, każdy stan pomiędzy hrabstwami, każde hrabstwo między powiatami, które nazywają precincts, a w każdym precinct są asesorowie, którzy oceniają obywateli i kolektorowie, którzy odbierają pieniądze i oddają je urzędnikom wyższym. Opłaty w Connecticulu są pobierane według stanu, jaki każdy mieszczanin podaje o swoim majątku.

Le genie de l'homme qui a reculé les bornes de la plus port des sciences abstraites presque au dela des limites presentes à l'imperfection de notre espèce, a bien peu fait de progrés dans celles que le touchent de plus près. Le peu de lumieres que nous avons, sur le meilleur gouvernement et sur les vrais principes du commerce, ne peuvent guère nous suffire à former un systéme raisonable et les continuelles bevues des légis lateurs et des politiques, ne nous éclairent que sur leur ignorance. L'innombrable quantité de volumes écrites sur ces matières n'ont fait voir que les pretensions des auteurs, et la reputation des hommes d'Etat les plus célébres, prouvent plus notre insuffisance, que l'étendue de leurs vuês, et la sûreté de leurs principes. Ah! Mr. le Cte les plus experimentés sont ecoliers dans ces matières, parceque s'il m'est permis de me servir d'un proverbe de Sanche, celui qui court dans un mauvais chemin, avance moins, que celui qui marche dans le bon: et qu'aucun encor. n'est entré dans le sentier, qui mene au but.

Geniusz człowieka, który posunął rozmiary największej części nauk oderwanych do granic prawie niedostępnych naszemu rodzajowi, bardzo mało zrobił postępów w dziedzinach, które tyczą się go najbardziej. Skąpe wiadomości, jakie posiadamy o najlepszym rządzie i o prawdziwych zasadach handlu, nie mogą nam wcale wystarczyć do stworzenia rozsądnego systemu, a ciągłe pomyłki prawodawców i polityków przekonywują nas tylko o ich nieświadomości. Niezliczona ilość tomów, napisana w tym przedmiocie, wykazała tylko czczo pretensye autorów a sława najzacniejszych jednostek państwa potwierdza raczej braki, aniżeli świadczy o rozległości ich poglądów i o pewności ich zasad.

Niestety! Panowie hrabiowie najbardziej doświadczeni są tylko uczniami w tych kwestyach, ponieważ, jeśli mi wolno posłużyć się przysłowiem Sancha, ten który biegnie po złej drodze, postępuje wolniej, niż ten, który idzie po dobrej: a właśnie z nich wszystkich żaden jeszcze nie wstąpił na ścieżkę, która prowadzi do celu.

20. Octbr.

En me levant je vis de ma fenêtre les sommets des montagnes bleues, ou Kats-Kill Mountains couvertes de neige, il avait gêlé aussi, le temps était très clair et le vent s'était calmé, nous resolumes de poursuivre notre voyage, et nous primes congé de nos hôtes. Je regretais de ne pouvoir point me rembarquer sur la riviere, mais outre que le vent etait contraire, nous n'aurions pû trouvez de bateau. La seule manière de voyager dans ce pays, quand on n'a point de chevaux à soi, c'est de louer des chariots qui font a peu près 40 milles ou 13 lieues de france par jour; ces voitures sont très incommodes surtout quand les chemins sont mauvais comme a présent: mais il y a moyen de supporter telle fatigue, et je crois qu'a la longue elle est moins sensible que celle du Cheval. On peut moyennantes ces waggons traverser toute l'Amerique et pénétrer dans les etablissements les plus réculés: Quoique les auberges sur les chemins ne soient pas très bien installées, on trouve partous de quoi se nourrir: du bon pain, du beurre frais, des pommes de terre qui sont infiniment plus savoureuses que celles d'Europe, et souvent

---

20. października.

Wstając, ujrzałem z mego okna szczyty niebieskich gór, albo Kats-Kill Mountains, pokrytych śniegiem; było dość mroźno, jednak pogoda była bardzo piękna i wiatr uspokoił się zupełnie: postanowiliśmy wyruszyć w dalszą podróż i pożegnaliśmy się z naszymi gospodarzami. Żałowałem, że nie mogłem powracać rzeką, ale prócz tego, że wiatr był przeciwny, nie bylibyśmy mogli znaleść łodzi. Jedyny sposób podróżowania w tym kraju, gdy się nie ma własnych koni, jest wynajęcie wózków, które robią prawie 40 mil tutejszych albo 13 mil francuskich na dzień; powozy te są bardzo niewygodne, szczególnie kiedy drogi są złe jak teraz: ale możliwem jest znieść takie zmęczenie i myślę, że przez dłuższy czas daje się ono mniej uczuć, aniżeli jadąc konno. Można przy pomocy tych wozów przebyć całą Amerykę i dotrzeć do posiadłości najbardziej oddalonych, chociaż oberże na drogach nie są bardzo dobrze umieszczone, jest się zawsze czem pożywić; dobry chleb, świeże masło, kartofle, które są daleko smaczniejsze od europejskich, a często nawet dobra baranina,

même du bon mouton font des repas excellents, après qu'on a été seconé, et qu'on a jeuné toute la matinée. On rencontre frequemment des auberges qui ont des lits, mais le plus sûr est d'avoir un matelas, une couverture avec soi de la paille fraiche forme un coucher bien plus commode, qu'un vieux lit, la plus part du temps rempli de vermine, et jamais assez propre pour inspirer au voyageur une parfaite tranquillité.

Nous quittâmes Pough Kepsie a 10 heures et pendant quelque temps nous cotoyâmes notre belle rivière: comme le terrein est un peu élevé; nous dominions sur ses rives, et notre vue après s'etre promené sur les fertilles campagnes qu'elle arose, venait séchouer contre la chaine impénétrable des monts bleues, dont les sommet andes et couverts de naige nous offraient l'image d'un hiver rigoureux, tandis que nous jouissions d'un climat temperé.

Svave Mari magno turbantibus
Aequora Ventis &.

---

stanowią doskonałe posiłki, gdy się jest trzęsionym i gdy się pościło przez cały ranek. Spotyka się często zajazdy, które mają łóżka, ale najpewniej jest mieć materac i kołdrę ze sobą. Swieża słoma tworzy posłanie daleko wygodniejsze niż stare łóżko, po większej części napełnione robactwem i nigdy dość czyste, by przyprawić podróżującego o zupełny spokój. Opuściliśmy Pough Kepsie o 10 godzinie i przez jakiś czas jechaliśmy brzegiem naszej pięknej rzeki; ponieważ teren jest nieco wzniesiony, panowaliśmy nad jej brzegami i nasz wzrok napatrzywszy się na żyzne pola, które ona zrasza, spoczął na nieprzeniknionym łańcuchu błękitnych gór, których wierzchołki pokryte śniegiem dawały nam obraz ostrej zimy, podczas gdy na dole cieszyliśmy się klimatem umiarkowanym.

Svave Mari magno turbantibus
Aequora Ventis &.

Souvent un detour de chemin, ou un brisant venait nous dérober ce spectącle mais bientot un autre hazard nous y ramenaient, et nos yeux sensibles au plaisir de l'instant. oubliaient celui qu'ils venaient d'eprouver. Bientot nous vîmes, le Gl. Wanghan y avait mis le feu, lorsque precedant Henry Clinton, il allait rejoindre Bourgogne; c'est fut dans ces environs que ces deux généraux pretendent, avire que celui qu'ils allaient après sevunir n'avait plus besoin de leur aide, ils brulerent tout ce qui etait habité. et plusieurs habitants périrent dans les flammes: aulieu d'avancer jusque à Albany qui était alors sans defense, où les Americains avaient des magazins. et près de deux milles malades dans l'hôpital. ils retournèrent sur leurs pas. et la devastation la plus horrible fut le seul resultat de leurs exploits.

Nous perdîmes de vue la riviere a deux milles d'Esopus, et nous passames au travers des bois le compté de Reinbeck, il n'y a rien a remarquer dans toute l'etendue de ce pays, excepté que ses habitants sont tous Allemands ou Hollandais, ils parlent un mauvais anglais. et leur prononciation est tout à fait etrangère: Nous rancontrâmes sur notre chemin presque autant d'egli-

---

Często skręt drogi albo wysterczająca z wody skała zakrywały przed nami ten widok, ale wkrótce inna niespodzianka zwracała na siebie uwagę i nasze oczy, czułe na wrażenie chwilowe, zapominały szybko to, co przed chwilą spostrzegły. Wkrótce ujrzeliśmy Gl. Wanghan, który uprzedzając Henryka Clinton, rozniecił już tam ogień, a dążył złączyć się z Bourgogne. Ci dwaj generałowie utrzymują, że przybyli napróżno do tych okolic, gdyż ten z którym oni mieli się złączyć. nie potrzebował już ich pomocy; spalono wszystkie domostwa i kilku mieszkańców zginęło w płomieniach. Zamiast posuwać się aż do Albany. która była wówczas bez obrony. a gdzie Amerykanie mieli swoje magazyny i około 2.000 chorych w szpitalu. powrócili oni dawną drogą i najstraszniejsze spustoszenie było jedynym tylko skutkiem ich poszukiwań.

Straciliśmy z oczu rzekę o dwie mile od Ezopus i minęliśmy lasy hrabstwa Reinbeck: w całej rozciągłości tego kraju nie ma nic do zauważenia oprócz tego, że jego mieszkańcy są wszyscy Niemcami albo Holendrami; mówią oni złą angielszczyzną, a ich wymowa jest całkiem cudzoziemską. Spotkaliśmy na naszej drodze prawie tyle kościołów, co taras i spostrzegliśmy, że tutejsi

ses que de teraces, et nous nous aperçûmes bien, que les habitants d'ici sont meilleurs devots que bons cultivateurs. En général ce district est mal cultivé, et les bois sont devastés d'une manière, qui, dans quelque temps rendra très sensible leur besoin. Quand on veut exploiter un arpent de terre, on met le feu au bois qui le couvre, beaucoup d'arbres penssent encore par les coupuresqu'on leur fait pour en tirer la resine dont ils font la poix et le goudron: tous les enclos sont formés de bois de charpente, et une prodigalité imprudente regne dans leur manière de bàtir: nous n'avons pas aperçu sur pied. dans l'etendue de près de 12 lieues, cent pieces d'arbres d'une grandeur raisonable.

Vers le cinq heures du soir nous quittàmes le compte d'Albany pour aller voir le chancelier Levingston. et cette excursion, nous ramena encor sur les bords de la riviere. La famille de L e v i n g s t o n est une des plus considerable de la province: le chancellier de New-Yorck a été pendant toute la guerre secretaire des affaires etrangères. Sa maison fut brulée par les Anglais et il vient d'en rebàtir une autre: nous y fumes accueilli à merveille, nous y passàmes une soirée agréable, et le lendemain il a fallu du courage, pour nous arracher d'un endroit aussi sédui-

---

mieszkańcy są lepszymi nabożnisiami niż rolnikami. Wogóle powiat ten jest źle uprawiany i lasy są niszczone w taki sposób, że wkrótce bardzo da się uczuć ich brak. Gdy chcą eksploatować morg ziemi, podpalają las, który go pokrywa: wiele drzew nosi jeszcze nacięcia, które im robią, aby wydobyć żywicę, z której wyrabiają następnie smołę i dziegieć. Wszystkie ogrodzenia są zrobione z budulca, a nieroztropna rozrzutność panuje w sposobie ich budowania: To też nie spostrzegliśmy na przestrzeni 12 mil stu drzew okazałej wielkości.

Około piątej godziny wieczór opuściliśmy hrabiego Albany, ażeby widzieć się z kanclerzem Lewingston i wycieczka ta przywiodła nas napowrót na brzegi rzeki. Rodzina L e w i n g s t o n jest jedną z najbardziej znacznych w prowincyi; kanclerz Nowego Yorku był podczas całej wojny sekretarzem spraw zagranicznych. Dom jego został spalony przez Anglików i właśnie niedawno wybudowano nowy; byliśmy tam przyjęci doskonale i spędziliśmy wieczór bardzo przyjemny, a nazajutrz potrzeba było wiele odwagi, aby się wyrwać z tak czarującego miejsca. Położenie domu

sant. La situation de la maison est des plus jolies, la famille qui la peuple aimable, au bout d'une route penible et ennuyeuse. Un voyageur suit plus vivement les agréments d'une douce societé; il s'arrète avec plaisir, pour jouir d'une conversation intéressante, il retrouve les idées qu'une attention suivie pour un seul objet avait effacé de sa memvive, et il se rapellé avec satisfaction, les moments de sa vie, ou il a épanché son ame dans le sein d'un ami ou d'une maîtresse. La crainte de trouver les routes impraticables, fut la seule raison qui nous força de partir d'un endroit où nous etions si bien traités, nos regards se tournèrent plusieurs fois vers lui, lorsque nous le quittâmes, et nous payâmes, par des sinceres regrets, l'hospitali té avec la quelle on nous y avait reçu.

Le 21. Octbr.

Il a fait très beau toute la journée, et y ent même des moments oû la chaleur du soleil devenait in commode. La route ici est bien désagréable, les chemins et les ponts dans un fort

---

jest prześliczne, rodzina, która go zamieszkuje uprzejma, a przy końcu podróży uciążliwej i nudnej, każdy podróżny odczuwa żywiej urok miłego towarzystwa. Zatrzymuje się z przyjemnością, aby rozkoszować się zajmującą rozmową, odnajduje myśli, które uwaga skierowana ustawicznie na jeden przedmiot zatarła w jego pamięci, przypomina sobie z zadowoleniem chwile swego życia, w których otwierał dusze swoją przed sercem przyjaciela lub kochanki. Obawa natrafienia na nieprzebyte drogi, była jedyną przyczyną, która nas zmusiła do wyjechania z miejsca, gdzieśmy byli tak dobrze przyjęci: oczy nasze zwracały się kilka razy ku niemu, gdyśmy je opuszczali i szczerym żalem zapłaciliśmy za gościnność, z jaką nas tam przyjęto.

21. października.

Pięknie było przez cały dzień i były nawet chwile, kiedy gorąco słońca stawało się wprost nieznośnem; podróż jest tu bardzo nieprzyjemną, drogi i mosty w bardzo złym stanie, to też

mauvais etat, nous avançames lentement dans la boue. nous fumes obligés de traverser a gué plusieurs ruisseaux considerables, l'aspect du pays nous laissait tout le temps de nous occuper de l'ennuy de notre voyage; l'on peut dire de ce pays-ci ce que Jen Mylord Battymore disait de ma patrie que l'on y passe l'eau toujours à côté du pont ou l'on. n'en trouve un, qu'après avoir passé la rivière. Je fus charmé de finir cette journée. nous couchâmes entre Claserait et Kenderhook a 25 milles d'Albany chez un aubergiste capitaine.

22. Octobre.

Mon matelas me fut très utile cette nuit: le maître de l'auberge, tout capitaine qu'il était, n'ent pas de lit a nous donner, il nous fit payer cependant comme si nous n'avions pas couché à terre. Nous le quittâmes en lui souhaitant plus d'avancement dans l'armée, et plus de modération dans le prix.

Les chemins ce matin ont été aussi mauvais et aussi ennuyeux que hier; nous avons traversé un bcis de sapin, où nous

---

posuwaliśmy się powoli w błocie, zmuszeni przebywać wpław kilka znaczniejszych strumieni: widok tego kraju pozwolił nam przez cały czas zajmywać się nudami naszej podróży; można powiedzieć o tym kraju to. co Jen Mylord Battymore powiedział o mojej ojczyźnie. że w niej przebywa się wodę zawsze obok mostu albo most znajduje się dopiero po przebyciu rzeki. Byłem uszczęśliwiony, gdy ten dzień skończył się, noc spędziliśmy pomiędzy Claserait i Kenderhook o 25 mil od Albany u pewnego oberżysty kapitana.

22. października.

Mój materac był mi tej nocy bardzo użyteczny: właściciel oberży. jakkolwiek był kapitanem, nie miał łóżka do odstąpienia nam. a kazał zapłacić sobie tak, jak gdybyśmy nie spali na ziemi. Opuściliśmy go, życząc mu, by szybciej awansował w wojsku a za to więcej był umiarkowanym w żądaniu wynagrodzenia.

I dzisiaj rano drogi były zarówno złe i nudne, jak wczoraj; przebyliśmy jodłowe lasy, gdzie znaleźliśmy kilku myśliwych,

trouvâmes plusieurs chasseurs qui guetaient des ecureuils. Les Américains sont d'excellens tireurs et manquent rarement leur but, leur milieux pendant la guerre visaient toujours les officiers Anglais, et plusieurs personnes m'ont assuré que la Grande Bretagne avait perdu plus d'officiers en Amérique cette guerre-ci, que dans toutes les parties du monde la darnière.

Après avoir traversé vingt milles de forêts, la plus part du temps a pied, nous aperçûmes Albany du haut d'une colline où nous sommes montés, en nous promenant, et bientôt après nous y sommes arrivés saints et saufs.

Nous sommes logés hors de la ville chez le Ct. Hamilton gendre du G. Schyler dans une belle maison située sur une colline qui domine une très grande etendue de pays. Nous comptons nous y arrêter deux jours pour prendre des informations nécessaires au sujet de notre voyage. J'espère que désormais mon journal commencéra à devenir plus intéressant: nous entrons dans un pays moins connu, quoique celebre par des evénements importans; la nature dit-on y a prodigué ses beautés et à chaque pas on y trouve ces beautés mâles et sauvages qui ont encore

---

czatujących na wiewiórki. Amerykanie są doskonałymi strzelcami i rzadko kiedy chybiają celu. Ich środkowe kolumny celowały podczas wojny zawsze do oficerów angielskich i kilka osób mię upewniało, że Wielka Brytania straciła więcej oficerów w Ameryce w czasie tej wojny, niż we wszystkich częściach świata straciła kiedykolwiek Ameryka.

Przebywszy 20 mil lasu, po większej części pieszo spostrzegliśmy z wierzchołka pagórka, na który przechadzając się weszliśmy, Albany i wkrótce potem przybyliśmy tam zdrowo i cało.

Mieszkamy poza miastem u Ct. Hamiltona, zięcia G. Schylera, w pięknym domu, stojącym na pagórku, który góruje ponad bardzo wielką przestrzenią kraju. Liczymy na to, że zatrzymamy się tu dwa dni, aby zaczerpnąć potrzebnych wskazówek co do naszej podróży. Spodziewam się, że odtąd mój dziennik zacznie być bardziej zajmujący; zagłębiamy się w kraj mniej znany, chociaż sławny przez ważne wypadki. Przyroda — powiadają — udzieliła mu w obfitości swego piękna, i na każdym kroku znajduje się

plus de valeur dans un pays nouveau, et sorti plus tard de la main du createur.

23., 24. Octobre.

Quand un voyageur s'arrête dans une ville peu considerable, uniquement pour se reposer des fatigues qu'ila epuyées, que rien de bien intéressant n'occupe son esprit, rien de piquant ne reveille son attention, s'il veut. malgré la henlité du sujet en se couchant ecrire l'histoire de sa journée, s'il se tourmente pour rendre a son ami recommendable la nullité de ses occupations, il est sûr qu'en s'empêchant de dormir lui même, il faira bailler son lecteur.

Les journaux de la vie des plus grands hommes, retombent dans une monotonie fatiguante. sont souvent une lecture fastidieuses; je me souviens d'avoir vû un manusent arabe (à Chotzim) qui contenait la vit de Mahomet, ecrite par un de ses domestiques. Les particularites les plus minutieuses y étaient detailles avec exactitudes, et c'etait non seulement l'histoire de ce pro-

---

tam to piękno poważne i dzikie. które posiada tyle uroku w kraju nowym i wyszłym niejako później z ręki Stwórcy.

23. i 24. października.

Kiedy podróżny zatrzymuje się w mieście mało znacznem, jedynie aby wypocząć po trudach. jakich doznał. kiedy nic zajmującego nie zaprząta jego umysłu, nic pociesznego nie budzi jego uwagi. jeżeli chce pomimo mierności przedmiotu, kładąc się, napisać historyę swego dnia, jeżeli wysila się, aby zalecić swemu przyjacielowi błahość swoich zajęć, jest on pewnym, że przeszkadzając spać sam sobie. zmusi do poziewania swego czytelnika.

Dzienniki życia największych ludzi wpadają nieraz w męczącą monotonność i dlatego są często w czytaniu nużące; przypominam sobie, że widziałem arabskiego manusenta (w Chocimiu), który zawierał życie Mahometa. opisane przez jednego z jego sług. Najdrobniejsze szczegóły były tam zawarte ze ścisłą dokładnością, była to nie tylko historya tego proroka codzienna. ale

phète jour par jour, mais heure par heure: la nourriture qu'il prenait. l'habit qu'il endossait. la femme avec la quelle il partageait son lit — les — dois-je le dire? — non — on le trouverait peut-être indecent. Enfin tout y était rapporté avec toute la prétension à la plus grande authenticité: malgré l'extreme curiosité de connaître la vie privée de l'etonnant personnage, j'eus toutes les peines du monde à achever la lecture de cette rapsodie. et vingt fois en jettant le cahier j'ai maudit mon heros d'avoir vecu si longtemps. il mourut enfin. et le seul bruit qui frappa dans sa vie. fut l'état où il fut trouvé à sa mort.

Mais pour revenir de notre prophète aux habitants d'Albany qui ne le sont nullement: je vous dirais qu'ils faisaient avant la dernière guerre un commerce très considerable avec les sauvages qui echangeaient les peaux d'ours de loups. de renards, des castors d'elans. de daims contre des couvertures de laine de la poudre à fusil. des armes et surtout du rum. les dernières calamités ont interompus ce trafic qui commençait à languir quelque temps auparavant, à cause de la rareté des bêtes fauves, que des chasses répétées. avaient exterminees.

---

godzinna: pokarm. jaki przyjmował. ubranie. jakie wdziewał. kobieta, z którą dzielił swoje łoże i — czy mam powiedzieć? — nie — sądzonoby, że jest to nieskromnem. Zresztą wszystko tam było przytoczone z całą pretensyą do wielkiej autentyczności. Pomimo nadzwyczajnej ciekawości poznania życia domowego tej zadziwiającej osobistości, z największą trudnością przyszło mi dokończyć czytania tej rapsodyi i 20 razy rzucając zeszyt. przeklinałem mego bohatera. że żył tak długo. wreszcie umarł a jedyną nadzwyczajnością, jaką uderzała w jego życiu, był stan. w jakim go znaleziono po śmierci.

Ale aby powrócić od naszego proroka do mieszkańców Albany. którzy nie mają nic z nim wspólnego, powiem wam. że przed ostatnią wojną prowadzili znaczny handel z dzikimi. którzy mieniali skóry niedźwiedzi, wilków, lisów. bobrów, łosi i danieli na wełniane kołdry, proch strzelniczy, broń a szczególnie na rum. Ostatnie klęski przerwały ten handel, który już jakiś czas przedtem zaczynał upadać z powodu braku dzikich zwierząt, które częstemi polowaniami zostały wytępione zupełnie.

24. Octob.

Nous dessendimes ce matin à la ville pour y diner chez le Cl. Leurs, beau frère du chancelier Lewingston, et nous profitâmes de cette occasion pour la parcourir. Le Cl. Hamilton nous accompagna dans cette cource: et nous eumes le plaisir de jouir pendant très longtemps de sa conversation: c'est un jeune homme de vingt sept ans et sûrement un de sujets les plus distingués de l'Amérique.

Il a été pendant longtemps aide au camp du Gl. Washington et son principal suretaire, et a commendé l'attaque de la redoutte d'Jorck-Town. Il a echangé actuellement son epée contre une robe d'avocat et suit avec autant de zele et de succés ce nouveau metier, qu'il a montré d'habilité et d'activité dans l'autre. Son ésprit est etendu, son jugement sûr, et son éducation très soignée. Il n'a point les prejugés de son pays, juge avec justesse des evénements, sans enthousiasme pour la reputation, il sait apprecier la valeur de ses compatriotes qui ont agi dans la dernière revolution: c'est principalement sur ces informations et sur

---

24. października.

Wysiedliśmy dziś rano w mieście, aby zjeść obiad u Cl. Leurs, szwagra kanclerza Lewingstona i skorzystaliśmy z tej sposobności, aby zwiedzić miasto. Cl. Hamilton towarzyszył nam w tej wycieczce i mieliśmy przyjemność bawić się przez długi czas jego rozmową; jest to młody człowiek, dwudziestu siedmiu lat i z pewnością jeden z najbardziej dystyngowanych poddanych Ameryki.

Był on dłuższy czas adjutantem generała Washingtona i jego głównym obrońcą i dowodził napadem na redutę Yorck-Town. Miecz twój zmienił obecnie na togę adwokata i oddaje się z taką samą gorliwością i powodzeniem swemu nowemu zajęciu, ile zręczności i czynności okazywał w zawodzie poprzednim. Jego umysł jest wszechstronny, jego sąd pewny a wykształcenie bardzo staranne. Nie posiada przesądów swego kraju, zdarzenia osądza sprawiedliwie, bez zapału dla opinii, umie oceniać wartość swoich współrodaków, którzy działali w ostatnim powstaniu: i na jego

celles de Mr. J-n. D-n que j'ai tracé ces caractères que je vous envoie ci joints.

Vous y verrez Mr. le Comte les objets à peu près à leur juste valeur, et j'espère que ceci ne sera pas la partie la moins intéressante de mon journal.

La Ville d'Albany n'a absolument rien de remarquable: un hôpital spacieux que les Anglais ont bâti dans la guerre du Canada, peut seul frapper les yeux du voyageur, mais la situation de la ville est, on ne peut plus, agréable, et la même riviere qui sert à l'embellir lui procure encor un commerce aisé avec New-Yorck.

Nous avons arrangé uprès diner les preparatifs de notre voyage: on nous menace de difficultés insurmontables, les ponts dit-on sont emportés, les chemins impassables, et les rivieres debordées. Mais nous avons deux ingrediens nécessaires, beaucoup de patience et de curiosité, et le cris de guerre de notre petite troupo est toujours: Bontés en avant.

---

głównie wskazówkach i na wskazówkach Pana J-n D-n naszkicowałem te charaktery, które Ci tu załączam.

W nich zobaczysz Panie Hrabio wszystkie cechy ocenione należycie wedle ich właściwej wartości i mam nadzieję, że to nie będzie najmniej zajmującą częścią mego dziennika.

Miasto Albany nie ma absolutnie nic godnego uwagi; tylko jeden szpital rozległy, który zbudowali Anglicy podczas wojny w Kanadzie, może zająć wzrok podróżnika, ale położenie miasta jest nadzwyczaj przyjemne i ta sama rzeka, która służy do jego upiększenia, przyczynia się jeszcze do ułatwienia handlu z New-Yorck'em.

Po obiedzie zajęliśmy się przygotowaniami do naszej podróży: straszą nas niepokonanemi trudnościami, mówią, że mosty są zerwane, drogi nie do przebycia i rzeki wezbrane. Ale mamy z sobą dwie rzeczy niezbędne, wielką cierpliwość i ciekawość i okrzyk wojenny naszego małego orszaku brzmi stale: „Zawsze naprzód".

25. Octobre.

J'apprends à etre exact de mon compagnon de voyage qui ecrit la moindre chose; sans cet exemple j'aurais oublié de vous dire que nous avons quitté Albany a midi sans autre equipage que deux petits porte manteaux, et sans autre provision. qu'un peu de sucre de thé et quelques citrons. Nous suivimes d'abord la viviere du Nord jusqu'a un endroit nommé Schaylers ferms, où nous primes a gauche pour aller voir la grande chute d'eau de Cahoes sur la Mohawck: a peine avions nous fait trois milles que nous entendimes distinctement le bruit de la cascade. Qu'est ce que ce bruit? me dit Mr. Vernon, c'est celui de la cascade, lui repondis-je, et nous piquâmes de deux, a chaque pas que nos chevaux faisaient en avant. le bruit augmentait, et il devint si considerable, que nous ne nous entendims plus. Nous apercevions de temps en temps au travers les arbres le fleuve qui le bordent, chariant avec impetuosité l'ecume dont les bords etait remplis le temps était beau et serain. mais une pluie qu'occasionne l'extréme fermentation de l'eau qui tombe d'une prodigieuse hauteur nous avertit que nous étions près du tableau.

---

25. październ.

Staję się dokładnym. ucząc się tego od mego towarzysza podróży, który zapisuje najmniejszą rzecz: bez tego przykładu zapomniałbym Ci powiedzieć, że opuściliśmy Albany o południu. mając za cały bagaż dwa małe tłumoczki a jako całe zapasy żywności trochę cukru, herbaty i kilka cytryn. Posuwaliśmy się najpierw brzegiem rzeki północnej aż do miejsca nazwanego Schaylers-ferms, gdzie skręciliśmy na lewo, ażeby módz zobaczyć wielki wodospad Cahoes na Mohawck. Zaledwie przebyliśmy trzy mile, kiedy usłyszeliśmy wyraźnie huk wodospadu. Co to za hałas? — zapytał mnie p. Vernon. Jest to odgłos wodospadu — powiedziałem i przedzieraliśmy się razem, a za każdym krokiem. który nasze konie robiły naprzód, hałas potężniał i stał się wreszcie tak znacznym, że nie słyszeliśmy się wzajemnie. Spostrzegaliśmy od czasu do czasu przez drzewa rzekę, która je otacza, niosąc z gwałtownością pianę. która napełniała brzegi. Pogoda była piękna i przyjemna, ale deszcz. jaki sprawia nadzwyczajne wzburzenie wody, która spada ze znacznej wysokości, ostrzegał nas. że jesteśmy w pobliżu miejsca. którego widok

La forêt nous en derobant encor la vue, mais l'impression de l'horrible fracas qui nous etourdissait. L'impatience de la curiosité montée au dernier point, la solitude qui nous entourait: tout cela formait un tumulte dans mon ame que j'aime à ressentir. Nous quittâmes nos chevaux, et nous nous enfonçâmes dans le bois, mais puis-je vous décrire mes sensations quand du haut d'une colline: je decouvris cette immense nappe d'eau, se precipitant dans un gouffre; le fleuve est ici large de trois cent 29 yards apeuprès mille pieds anglais, et sa chute perpendiculaire est de 75 pieds.

Le courant acquiert de la force avant d'arriver au precipice, par une pente très rapide et des brisans nombreux, et l'eau bouillone déjà avant de s'engouffrer. Les rochers à l'endroit de la chute forment une espece de barre, qui en elevant les flots leur donne encor plus de vehemence et d'impetuosité les virite pour ainsi dire en arrêtant un moment leur violence: ajoutés a cela l'effet surprenant des arcs-en-ciel qui melent les plus vives couleurs au gris sombre du brouillard epais, ornent des plus vives couleurs, l'air, au milieu de l'horrible bruit que doit faire un volume d'eau aussi immense tombant d'une hauteur prodi-

---

las nam wprawdzie zakrywał, ale już samo wrażenie strasznego hałasu oszołomiało nas. Niecierpliwość naszej ciekawości, posunięta do najwyższego stopnia samotność, która nas otaczała, wszystko to tworzyło w mojej duszy chaos, jaki lubię odczuwać. Porzuciliśmy nasze konie i zapuściliśmy się w las, ale czy mogę wam opisać moje wrażenia, kiedy z wysokości pagórka ujrzałem tę olbrzymią kaskadę wody, spadającą w otchłań: rzeka w tem miejscu jest trzysta dwadzieścia dziewięć jardów szeroka, co wynosi około tysiąc stóp angielskich, a wysokość wodospadu wynosi 75 stóp.

Bieg nabiera siły przed dojściem do przepaści, wskutek stromej pochyłości i licznych przeszkód, i woda kotłuje się już przed zagłębieniem się w przepaść. Skały tworzą w miejscu spadku rodzaj tam, która podnosząc fale nadaje im jeszcze więcej gwałtowności i rozpędu, podżega je — że tak powiem — zatrzymując na chwilę ich gwałtowność. Dodać jeszcze do tego zadziwiający urok tęczy, która łączy najżywsze barwy aż do szarości ciemnej gęstej mgły, zdobi w najżywsze kolory powietrze, wśród strasznego huku, który powoduje tak wielka masa wody, spadającej ze znacznej wysokości, i dziwne wrzenie, które z tego wynika —

gieuse, et l'etrange fermentation qui s'ensuit, et vous aurez un faible idée du tableau. Je joins ici mon cher comte un dessein de cette merveille mais je serais très fâché que Vous crussiez qu'il en est la representation parfaite. C'est une esquisse que j'adrésse a Votre imagination et je suis sûr que les yeux de l'auteur de... sauront apercevoir l'original dans ce croquis imparfait. Je me souviens, oui, je me rappelle... quand je voulus derober pour la première fois la ressemblance de celle que j'adorerais toute ma vie, dans les traits grossiers qu'un peintre malhabile avait tracé au hazard, les graces, de saurir l'ame de l'objet de mon culte. [1] . . . .

. . . .

Nous serions resté peut-être jusqu'au coucher du soleil, en contemplation du grand spectacle, qui nous occupait, si nos gens, pressés par la faim, et apparemment moins sensibles, à ces fortes de beautés, ne nous avaient rapellé qu'il fallait encore faire

[1]) Ostatnie słowa tego ustępu (de saurir...) według rękop. szczorsowskiego, poczem zarówno w rękop. jagiellońskim, jak i szczorsowskim miejsce zdefektowane.

i będziecie mieli słabe wyobrażenie obrazu. Załączam tu mój drogi hrabio rysunek tego cudu, ale byłbym bardzo niezadowolony, gdybyś myślał, że jest on jego doskonałem odtworzeniem. Jest to szkic raczej, który przesyłam ufając Twojej wyobraźni i jestem pewien, że oczy autora... będą umiały wypatrzyć oryginał w tym nieudolnym rysunku. Ja pamiętam, tak, przypominam sobie... gdy chciałem uchwycić po raz pierwszy podobiznę tej, którą ubóstwiałem całe moje życie, w rysach prostych, które niezdolny malarz naszkicował przypadkowo, wdzięki, uśmiech, duszę przedmiotu mojej czci. . . . .

. . . .

Bylibyśmy pozostali, być może, aż do zachodu słońca w zachwycie nad przepięknym widokiem, który nas zajmował, gdyby nasi ludzie, przyciśnięci głodem i napozór mniej czuli na tego rodzaju piękna, nie byli nam przypomnieli, że mieliśmy jeszcze

plus de douze milles pour joindre notre diner, et que la journée était fort avancée. Nous rejoignimes nos chevaux, et après avoir passé le Mohawck deux milles plus bas. Nous reprimes le grand chemin de Saratoga. Nous dinâmes à un endroit, nommé Half-Moon, où le Mohawck et le Hudson, se joignant, forment une espece de demi-lune. Je vous ferai grâce des mauvais chemins, que nous rencontrâmes. La nuit nous surprit presque au sortir de Half-moon, et dans l'obscurité et sans garde nous traversâmes à la nage, plusieurs torrents considérables, au risque de nous noyer. Enfin une lumiere secourable nous indiqua notre gîte, et nos chevaux trouverent encore la force de trotter à la vue de cette astre bien faisant, et nous conduisait bientôt dans une maison plus commode, que nous n'osions l'espérer. Un capitaine de milice était maître de cette auberge. Sa femme, âgée environ de 30 ans, et une très-jolie fille, à peu près de 15 ou 16 ans, composaient le ménage. Un enfant de huit mois reposait tranquillement au milieu de lachambre où couchait toute la famille. On proposa d'y faire notre lit, parce que nous étions pressés de dormir, et qu'il n'y avait pas de feu dans la chambre des étrangers. J'avoue que la ressemblance de cette situation avec celle

---

do zrobienia więcej niż dwanaście mil, aby dojść do naszego obiadu i że pora już bardzo spóźniona. Wróciliśmy się do naszych koni, dwie mile poniżej przeszliśmy Mohawck i Wielką drogą dążyliśmy do Saratoga. Obiadowaliśmy w miejscu zwanem Half-Moon, gdzie Mohawck i Hudson łącząc się tworzą rodzaj półksiężyca. Nie będę wam mówił o złych drogach, na które natrafiliśmy. Noc zaskoczyła nas prawie u wyjścia z Half-Moon i w ciemności i bez straży przebyliśmy wpław kilka wielkich potoków, narażając się na utopienie — wkońcu wybawcze światło wskazało nam nasze mieszkanie, a konie nasze znalazły jeszcze dość sił do biegu na widok tej dobroczynnej gwiazdy i zawiozły nas wkrótce do domu wygodniejszego, niż byśmy się śmieli spodziewać. Kapitan wojska obywatelskiego był właścicielem tej oberży. Żona jego, mająca około trzydziestu lat i bardzo ładna córka, 15 lub 16-letnia, tworzyli gospodarstwo. Dziecię ośmiomiesięczne spoczywało spokojnie w pośrodku pokoju, gdzie sypiała cała rodzina. Chcieli w tym pokoju pościelić dla nas łóżko, ponieważ spieszno nam było do spania, a w pokoju gościnnym nie było napalone. Przyznam się, że podobieństwo tego położenia z położeniem hrabiego Berceau uderzyło mnie dziwnie: i gdybym był

du Conte du Berceau, me frappa singulierement; et si j'avais trouvé les probabilités de sortir de cette avanture aussi heureusement que... peut-être aurais-je accepté la proposition mais il n'était pas prudent de risquer, après une journée aussi fatiguante de passer une nuit sans dormir, sans être sûr des mêmes succès. Je vous fais part, moncher Comte, de toutes ces niaiseries. „Nugas tibi quoque dico". Un journal, semblable à une conversation entre deux amis, n'exclut point la franchise. Rien n'est au-dessus, rien au dessous de lui. Tous les styles, toutes les matières lui conviennent, et la varieté doit être son objet principal. L'homme qui l'écrit doit y paraître ce qu'il est, et celui, qui amuse son loisir à lire des lignes tracées sans pretension, sourit, en retrouvant les faiblesses de son ami, et croit l'avoir à ses côtés.

Les pensées, avec les quelles je me couchai, ne repondent point au premier objet, que notre vue a rencontré ce matin. Je vis, en me levant, le tombeau de Sir Francis Clarke, aide de camp du géneral Bourgoine. Un triste sapin planté au hazard sert d'ornement à cet objet lugubre. Sir Francis, blessé à mort,

---

znalazł możliwość wyjścia z tej przygody równie szczęśliwie jak..., być może, że byłbym przyjął tę propozycyę, ale nie było rozważnem narażać się, po dniu tak męczącym na przepędzenie nocy bez snu, nie będąc pewnym powodzenia. Udzielam Ci drogi hrabio wiadomości o wszystkich tych głupstwach. „Nugas tibi quoque dico". Dziennik, podobny do rozmowy między dwoma przyjaciółmi, nie wyklucza wcale otwartości. Nic nie jest dla niego za wysokiem lub za niskiem. Wszystkie sposoby opowiadania, wszystkie przedmioty uchodzą mu, a rozmaitość powinna być jego głównym celem. Człowiek, który go pisze, powinien przedstawić się takim, jakim jest; a ten, który wypełnia swoje wolne chwile czytaniem kreśleń pisanych bez pretensyi, uśmiecha się, odnajdując słabostki swego przyjaciela i zdaje mu się, jakby go miał przy sobie.

Myśli, z którymi się położyłem, nie odpowiadały wcale przedmiotowi, na który nasz wzrok natknął się dzisiaj rano. Wstając, ujrzałem grób pana Franciszka Clarke, adjutanta generała Burgoine. Samotna jodła, jakby przypadkowo zasadzona, stanowi jedyną ozdobę tego smutnego miejsca. Pan Franciszek,

et fait prisonnier à Stillwater, fut paurté dans une maison voisine de notre auberge, où il mourut.

26. Octbr.

Quel affreux sort que celui de périr dans une contrée etrangère, expirer, dans la maison d'un ennemi, entouré de visages inconnus, ou indifférents. Aucun allarme, aucun soupir, ne vous accompagnent dans la tombe, et vous devez avoir la triste certitude de croire que les services qu'on vous rend, ne viennent plus d'un tendre intérêt pour vous.

Soit! Je ne puis m'empêcher d'être fortement ému, et de réfléchir sur ma situation présente en voyageant dans un pays éloigné et presque inconnu en Europe. Si ma faible santé cédait aux fatigues d'un voyage penible, aux intemperies d'un climat très variable, si de nombreux chances qui peuvent alterer la source de la vie, se realisait sur moi, je ne vous reverrais plus, je ne reverrais plus... et ma memoire ensevelie dans la fosse, qui terminerait mon corps, ne passerait pas les mers, pour reveiller

---

ranny śmiertelnie i wzięty do niewoli w Stillwater, został umieszczony w domu obok naszej oberży i tam umarł.

26. października.

Jaki to straszny los zginąć w obcej okolicy, wyzionąć ducha w domu nieprzyjaciela, otoczony twarzami nieznanemi albo obojętnemi. Żadno współczucie, żadno westchnienie nie towarzyszy wam do grobu, i ze smutną pewnością musicie uwierzyć, że usługi, które wam oddają, nie pochodzą z czułego zajęcia się wami.

Niech i tak będzie! Nie mogę jednak przeszkodzić silnemu wzruszeniu i nie rozmyślać nad moim obecnem położeniem, podróżując w kraju oddalonym i prawie nieznanym w Europie. Gdyby moje wątłe zdrowie uległo żmudzie uciążliwej podróży, niepogodom bardzo zmiennego klimatu, gdyby liczne przygody, które mogą nadwerężyć źródło życia, odbiły się na mnie, nie ujrzałbym was więcej, nie ujrzałbym nigdy... i moja pamięć zagrzebana w grobie, który pochłonąłby moje ciało, nie przeszłaby przez

dans l'esprit de mes concitoyens le souvenir de mon existence. Je mourrais avant d'avoir tenté de mettre en oeuvre les materiaux que je rassemble avec tant de peine. Puisse une divinité propice présider à mon voyage et favoriser mon retour! Que je n'expire au moins qu'après m'être embarqué dans le chemin de la gloire. En attendant, nous primes la route de Still-Water: et nous visitâmes les restes des ouvrages du camp de Bemus, S. Heigrs, que les Américains avaient fortifié pour arrêter l'armée anglaise dans sa marche. Ils resterent là et laisserent Bourgoyne consumer les vivres de son armée dans une inaction dangereuse, ou dans des intreprises infructueuses. Ils y furent attaqués le 19. Septembre, et ayant repoussé cette irruption, ils ajouterent de nouveaux, ouvrages à leur camp: et les deux armées resterent pendant dixsept jours presque en présence, l'une de l'autre, et dans une singuliere tranquillité, qui ne fut troublée que par quelques escarmouches des fourageurs; l'armée anglaise dans l'attente incertaine d'un secours, et les Américains dans la persuasion, qu'un ennemi peu nombreux harassé, affamé devait nécessairement tomber de lui même.

---

morza, aby rozbudzić w umyśle moich współobywateli pamięć o moim istnieniu. Umarłbym, nie uporządkowawszy i nie wydawszy materyałów, które zbierałem z takim trudem. Oby życzliwe bóstwo przewodniczyło mojej podróży i sprzyjało memu powrotowi! Niech nie wyzionę ducha przynajmniej przed wejściem na drogę chwały. Tymczasem skierowaliśmy się drogą ku Still-Water i oglądaliśmy pozostałości po pracach, wykonanych przez obóz Bemusa S. Heigrs'a, który Amerykanie umocnili, aby zatrzymać armię angielską w jej pochodzie. Oni pozostali tam a porzucili Bourgoyn'a, wyczerpującego zapasy żywności swojej armii w niebezpiecznej bezczynności, co równa się bezowocnym przedsięwzięciom. Tam zostali napadnięci 19. września i odparłszy ten atak, uzupełnili obwarowanie swego obozu i obie armie pozostawały przez siedemnaście dni prawie oko w oko, jedna naprzeciw drugiej w dziwnym spokoju, zamąconym tylko przez kilka utarczek furażerów: armia angielska w niepewnem oczekiwaniu pomocy, a Amerykanie w przeświadczeniu, że nieprzyjaciel nieliczny, zmordowany, zgłodniały, musi z powodu własnej niemocy dać za wygraną.

Le 7. d'Octobre, ayant fait quelques mouvements pour couper la retraite de l'ennemi, il s'en suivit une action sanglante et meurtriere près d'un endroit nommé Freeman's Farm, où les deux armées ayant combattu avec une opiniatreté et un acharnement dignes d'une guerre civile, ...

. . . .

furent separées par la nuit. Les Anglais peu accoutumés à une manière de combattre, uniquement connue de la milice américaine, et ayant perdu le Sr. Frasier et leurs meilleures officiers, perdirent dans cette journée toute ésperance; et Bourgoine fut obligé la même nuit de prendre une position nouvelle et de reculer son camp. Là voyant qu'il lui était impossible de rester, ou d'avancer, il resolut de retourner sur ses pas, et s'étant mis en marche le même jour, il n'arriva dans son ancien camp de Saratoga, que le lendemain à midi. Ce qu'il y a de singulier, c'est que le général Gates, qui aurait pû détruire une armée fugitive, decouragée et embarassée par le charriage d'une artillerie pesante, et des bagages considerables dans un chemin étroit et bourbeux ne se mit à sa poursuite que vingt-quatre heures après, qu'elle eut décampé ayant eu le loisir et les moyens d'intercepter toute

---

7. października po kilku ruchach, mających na celu przeciąć odwrót nieprzyjacielowi, wywiązało się krwawe i mordercze starcie około miejsca, zwanego Freeman's Farm, gdzie dwie armie walczyły z uporem i z zawziętością, godną wojny domowej —

. . . .

noc dopiero rozdzieliła ich. Anglicy mało przyzwyczajeni do sposobu walczenia, znanego jedynie milicyi amerykańskiej, i straciwszy pana Frasier i swoich najlepszych oficerów, pozostali w tym dniu bez iskry nadziei i Bourgoine był zmuszony tej samej nocy objąć nową pozycyę i cofać się. Widząc więc, że było mu niemożebnem ani zostać na miejscu, ani iść naprzód, postanowił cofnąć się i wyruszywszy w drogę tego samego dnia, przybył do swego dawnego obozu w Saratodze dopiero nazajutrz w południe. Co jest wielce dziwnem to to, że generał Gates, który mógłby był zniszczyć armię będącą w rozsypce, zniechęconą i zakłopotaną przewozem ciężkiej artyleryi i znacznych pakunków po drodze wąskiej i błotnistej, pogonił za nią dopiero w 24 godzin po jej ucieczcie, wskutek czego miała ona czas i środki przeciąć wszelką komunikacyę i otoczyć obóz angielski. Kazał on podpisać tę sławną

communication, et d'entourer le camp anglais. Il fit signer cette fameuse convention, qui fut la base de l'independance américaine, et qui assura au malheureux Bourgoigne une reputation si agreable sous le fardeau de laquelle il restera écrasé. Les gazettes du temps, aux quelles je vous renvoie, vous aprendront plus en détail les circonstances militaires de toutes ces opérations, mais je vous arrêterai un moment sur l'état présent du lieu où s'est passé la sanglante action de Freeman's Farm, et sur quelques anecdotes, relatives à ce sujet. Quoiqu'étranger à cet événement il m'a été impossible de me defendre d'une sensation douloureuse à l'aspect de l'endroit le plus lugubre que j'aie rencontré dans ma vie. Imaginez dans un terrein inégalet bourbeux une forêt de tristes sapins, qui brulés à moitié, et depouillés de leurs branches, ne présentent que des troncs enfumés: partout des traces d'une horrible devastation, des oiseaux de proye chercher envain leur nourriture sur des os, que le temps a encore conservé, et le sifflement des vents frappant les oreilles d'un son perçant et désagréable. Cette déscription, qui n'est nullement exagerée, vous rendra plus intéressante la description que fait le Sr. Bour-

---

ugode, która stała się podstawą niezawisłości amerykańskiej, a która wyrobiła nieszczęsnemu Bourgoinowi reputacyę tak przyjemną, że jej ciężarem został on zmiażdżony. Dzienniki ówczesne, do których Cię odsyłam, powiadomią Cię z większymi szczegółami o znaczeniu militarnem wszystkich tych ruchów, ja jednak zatrzymam Cię chwilę, chcąc wskazać Ci obecny stosunek miejsca, gdzie odbywała się krwawa akcya Freeman's Farm i pragnąc opowiedzieć Ci kilka anekdot odnoszących się do tego przedmiotu. Chociaż byłem nieobecny w czasie tych wypadków, nie podobna mi było obronić się od bolesnego wrażenia, na widok miejsca najsmutniejszego, jakie spotkałem w moim życiu. Wyobraź sobie teren pagórkowaty, pokryty smutnym lasem jodłowym, który spalony do połowy i obrany z gałęzi pokazuje tylko zakopcone pnie: wszędzie ślady strasznego zniszczenia, drapieżne ptactwo napróżno szuka pożywienia, przypatrując się kościom, które czas jeszcze zachował i gwizd wiatrów uderza o uszy dźwiękiem przenikającym i nieprzyjemnym. Ten opis, który nie jest wcale przesadzony, uczyni wam bardziej zajmującem to, co opisuje p. Bourgogne

goyne de l'état de son armée la nuit qui suivit l'engagement. Elle respire une sensibilité, qui doit nécessairement interesser le lecteur au sort de ces officier.

---

o stanie swojej armii w ostatniej nocy, po jej zebraniu się. Tchnie on uczuciem, które zmusi bezwarunkowo czytelnika do zajęcia się losem tych oficerów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przemysł górniczo-hutniczy w Galicyi

w roku 1906.

Nafta i wosk ziemny.

(Ciąg dalszy).

Największa liczba zajętych przy kopalniach naftowych robotników była 5.712, najmniejsza 3.567.

Przy kopalniach było 181 własnych, 85 wynajętych, razem 266 domów robotniczych, lub też baraków, w których było 1.438 mieszkań, gdzie znalazło pomieszczenie 659 żonatych i 1.235 nieżonatych robotników.

Reszta robotników mieszkała w domach prywatnych: płacono czynsz najmu 7—20 k. miesięcznie. — Robotnicy byli ubezpieczeni w kasach chorych, kasach brackich lub w Zakładzie ubezpieczeń robotników od wypadków we Lwowie. Niektórzy należeli także do prywatnej kasy chorych w Schodnicy.

Przy kopalniach wosku ziemnego w tym okręgu wynosiła największa liczba robotników 1.823, najmniejsza 1.656.

W okręgu Stanisławowskim pobierał wynagrodzenie „na dniówkę“:

Dozorca	1 k.	66 h.	do	8 k.	— h.
Wiertacz	2 „	40 „	„	6 „	— „
Pomocnik wiertacza . .	1 „	40 „	„	3 „	— „
Maszynista	4 „	— „	„	6 „	— „
Palacz	1 „	60 „	„	3 „	— „
Majster kowalski . .	4 „	— „	„	6 „	— „
Pomocnik kowalski . .	1 „	40 „	„	3 „	— „
Rzemieślnik (rękodzielnik)	2 „	— „	„	5 „	— „
Robotnik dzienny . .	1 „	— „	„	2 „	— „

Prócz tego otrzymywali wiertacze dodatek 1 k., a pomocnicy wiertaczy 20 h. za 1 m. odwierconego świdrowego otworu. Za roboty oddane w akordzie płacono: od metra otworu świdrowego 150 k. — Za czerpanie ropy 25—80 h. miesięcznie od otworu.

W kopalniach wosku ziemnego płacono 60 k. za 1 m. pogłębienia szybu, za naprawę chodnika 10 k. do 60 k. od 1 m.

Zarobków wypłacono w roku 1906:

Dozorcom	13.734 k.
Wiertaczom	26.045 „
Robotnikom	125.088 „
Razem .	164.867 k.

T. j. 57.031 k. więcej, niż w roku poprzednim.

Na głowę jednego robotnika przypadał w tym roku zarobek 620 k., t. j. był o 42 k. mniejszy, niż w roku poprzednim.

Pomiędzy kierownikami kopalni nafty i wosku ziemnego było 3 obcokrajowców: 2 Kanadyjczyków, a 1 Prusak. — Największa liczba robotników, zajętych w ciągu roku przy kopalniach nafty była 396, najmniejsza 161: przy kopalniach wosku: 637 — 396.

Kopalnie nafty miały 40 domów i baraków robotniczych, gdzie w 79 mieszkaniach znaleźć mogło pomieszczenie 59 rodzin robotniczych, a 82 robotników nieżonatych. Natomiast przy kopalniach wosku ziemnego, mimo większej liczby zatrudnionych robotników było tylko 13 domów robotniczych.

Uzdolnienie i zachowanie się robotników było zadowalające.

Dla ubezpieczenia robotników istniała kasa bracka w Pasiecznej, kasa zapomogowa w Słobodzie rungurskiej.

Przedsiębiorstwa w Dźwiniaczu i Staruni ubezpieczały swoich robotników w kasie brackiej w Borysławiu.

Inne przedsiębiorstwa czyniły to także w Zakładzie ubezpieczenia robotników od wypadków we Lwowie lub w kasach chorych dotyczącego starostwa.

Zarobki wypłacone w roku 1906 we wszystkich okręgach były następujące:

W okręgu Jasielskim	. . . .	1,093.018 k.
„ Drohobyckim	. . . .	4.816.854 „
„ Stanisławowskim	. .	164.867 „
	Razem .	6.074.739 k.

Zarobek na głowę jednego robotnika wynosił:

W okręgu Jasielskim	. . . . .	690 k.
„ Drohobyckim	. . . . .	1.048 „
„ Stanisławowskim	. . . .	620 „

Dokładny obraz przemysłu górniczego naftowego w pojedynczych okręgach i pogląd na stopień jego rozwoju daje nam zestawienie urządzeń tych kopalń. Z tego powodu wymienię je nie sumarycznie, lecz szczegółowo w każdym okręgu:

W okręgu Jasielskim było 31 szybów, z których 8 tylko służyło do wydobywania ropy, 23 były nieczynne. 1.403 otworów wiertniczych. 72 pogłębiano siłą pary, z 83 pompowano ropę ręcznie, z 712 wydobywano ropę siłą pary, z 2 wypływała sama, 525 otworów było nieczynnych, 9 zagwożdżono. Największa głębokość otworu świdrowego wierconego systemem kanadyjskim była 1.002 m.

W roku 1906 pogłębiono 22.163 m. otworów wiertniczych za pomocą pary. Wierceń ręcznych nie było wcale.

Maszyn wiertniczych było 83, wśród tych 14 lokomobil o łącznej mocy 1.714 k. p., 1 motor gazowy o 16 k. p.

Motory elektryczne nie były w użyciu.

Z otworów starych i nowych nieproduktywnych zasypano 51 o łącznej głębokości 14.761 m.

Wiercenie odbywało się przeważnie systemem kanadyjskim, w 2 przedsiębiorstwach: Faukowskim systemem z płuczką wodną.

Jedno przedsiębiorstwo wierciło systemem szybko udarowym z płuczką wodną.

Do wydobywania i pompowania ropy służyło 88 pomp ręcznych i haspli, 60 machin parowych, z czego 42 stałe, a 18 lokomobil o mocy 1.124 k. p., dalej 12 motorów gazowych o 200 k. p., z których wszystkie były w biegu.

Prócz tego służyło 12 maszyn parowych wiertniczych po ukończeniu wiercenia do pompowania ropy.

Dalej 10 lokomobil służyło do popędu elektrycznych dynamomaszyn, a 2 lokomobile do popędu warstatów; 26 pomp ssąco-tłoczących, które przewodziły ropę z zbiorników do magazynów ropnych i na stacyę kolei.

W 67 wypadkach był w użyciu kanadyjski *pumprighs*, którym pompowano ropę z 712 otworów wiertniczych.

Wszystkie stałe maszyny parowe, których było 155, z wyjątkiem 45 maszyn lokomobilowych, które posiadały własne kotły, dalej 26 pomp ssąco-tłoczących, 6 maszyn parowych przy urządzeniach elektrycznych, 2 pompy tłoczące, 3 maszyny parowe przy warstatach, 5 maszyn parowych przy pompach wodnych, 2 krany parowe do czyszczenia otworów wiertniczych — zasilała para z 17 stałych wmurowanych i 158 lokomobilowych kotłów parowych o powierzchni ogrzewalnej 4.756 m^2.

Przewodów rurowych było w tym roku na ropę: 258.533 m. t. j. 15.095 m. więcej, niż w roku poprzednim. Gazowych 40.620 m., o 4.840 m. mniej niż w roku poprzednim, parowych: 19.442 m. t. j. 1.622 m. mniej, niż w roku poprzednim, wodnych 42.144 m.

Rur do pompowania było ogółem 246.914 m. w użyciu, t. j. 11.482 m. mniej, niż w roku poprzednim.

Z dłuższych rurociągów, służących do przewodzenia ropy, zasługują na wyszczególnienie:

Z Grabownicy starzeńskiej	do Rymanowa . . .	17	km.
„ Zmiennicy	„ Rymanowa . . .	14	„
„ Humnisk	„ Grabownicy starzeńsk.	2	„
„ Kryga	„ Glinika maryampolsk.	4	„
„ Harklowa	„ Skołyszyna . . .	5	„
„ Krościenka	„ Krosna	3	„
„ Potoka	„ Jedlicza	6	„
„ Równego	„ Krosna	15	„
„ Wietrzna	„ Krosna	15	„

Z Węglówki	do Krosna	12 km.
„ Bóbrki	„ Krosna	14 „
„ Rogów	„ Krosna	15 „
„ Ropianki	„ Iwonicza	31 „
„ Zagórza	„ Tarnowa	2 „

Do otworów wiertniczych spotrzebowano 481.407 m. hermetycznych rur walcowanych, t. j. 79.492 m. więcej, niż w roku poprzednim, o średnicy od 370 mm. do 64 mm. — 110.466 m. zwyczajnych rur blaszanych o średnicy od 650 mm. do 80 mm. dla zabezpieczenia ścian usypistych i zamknięcia dopływu wody.

Zbiorników na ropę było: 177 z żelaza o pojemności 60.803 m³, 440 drewnianych o pojemności 14.342 m³, a 11 innych o pojemności 5.716 m³.

3 kopalnie ropy posiadały 1.300 m. kolejki przenośnej.

Urządzeń do celów oświetlenia elektrycznego było wszystkich 34, poruszanych przez 44 motorów parowych, a mianowicie przez 16 osobnych o mocy 117 k. p., a 28 obsługiwało równocześnie *pumprighs*.

Urządzenia te zaopatrywały w prąd elektryczny 44 kopalń dla 1.534 świateł żarowych o sile 10 do 25 świec.

Przewody telefoniczne miały łączną długość 23.083 m. i 21 stacyj centralnych.

Do chwytania gazów ropnych i rozprowadzania tychże równomiernie przewodami do palenisk kotłów parowych służyło: 114 zbieraczy gazów różnej konstrukcyi o pojemności 803 m³.

Przy 73 kopalniach ropy były kuźnice (warstaty kowalskie) z 96 ogniskami kuźniczemi. — Niektóre kopalnie miały warstaty mechaniczne, wśród tych było: 23 tokarń, 2 stolarnie, 6 walców do blach, 6 maszyn z świdrami stalowymi, 4 młoty parowe, 5 maszyn do heblowania i fraisowania.

Największe warstaty reparacyjne miały firmy:

„Gwarectwo naftowe hanowersko-galicyjskie Krosno“ w Potoku i „Galicyjsko-Karpackie naftowe tow. akcyjne“ przedtem „Bergheim i Mac Garvey w Gliniku maryampolskim“.

W okręgu Drohobyckim były 4 szyby ropne, z których 2 służyły do wydobywania ropy, a 2 były nieczynne. — Otworów wiertniczych było 1.402, t. j. 67 więcej niż w roku poprzednim, z tych 249 w pogłębieniu z popędem maszynowym. Wydobywanie ropy odbywało się w 1 wypadku ręcznie, w 679 przy użyciu ma-

szyn, z 35 otworów wypływała ropa sama, 161 otworów wiertniczych nie było w ruchu, 25 otworów zagwożdżono, 252 zapuszczono zupełnie.

Miejscem wytwórczości 98 przedsiębiorstw był Borysław z 301 otworami wiertniczymi, z których 108 pogłębiano, z 51 wydobywano ropę maszynami, z 8 wypływała sama, 13 zagwożdżono, 39 czasowo zastanowiono, 82 zapuszczono zupełnie.

W sąsiednich Tustanowicach było 88 przedsiębiorstw z 151 otworami wiertniczymi, t. j. o 75 otworów więcej niż w roku poprzednim, z których 101 pogłębiano, z 6 wydobywano ropę maszynami, z 26 wypływała sama, 1 zagwożdżono, 14 zastanowiono tymczasowo, 3 zapuszczono.

9 otworów wiertniczych, z tych 7 w Borysławiu, a 2 w Tustanowicach przekroczyło głębokość 1.200 m. Z pomiędzy tych osiągnął największą głębokość 1.278·50 m. otwór wiertniczy N. XVI. kopalni galicyjskiej Kasy Oszczędności w Borysławiu.

Pogłębianie otworów wiertniczych odbywało się tylko przy użyciu pary, wyłącznie prawie systemem polsko-kanadyjskim. 4 otwory pędzono systemem Fauka: Ekspresem wodopłóczkowym, 5 taranem wodnym systemu Wolskiego, 2 skombinowanym pensylwańsko-kanadyjskim systemem świdra linowego.

Ogółem wywiercono 93.536 m., t. j. 3.807 m. więcej niż w roku poprzednim, z czego przypada na Borysław 23.649 m., t. j. 27.796 m. mniej niż w roku poprzednim, na Tustanowice 60.841 m, t. j. 31.115 m. więcej, niż w roku poprzednim. Z powyższego zestawienia widzimy, że w tym okręgu Tustanowice prześcignęły wielokrotnie tak sławny dotychczas Borysław.

Do pompowania ropy użyto 4 pompy ręczne, 48 maszyn parowych o mocy 893 k. p., 12 motorów gazowych o mocy 156 k. p.

Prócz tego używano także maszyn parowych wiertniczych czasowo do pompowania ropy.

W 53 wypadkach czynność tę spełniał *pumprighs*.

Stałe maszyny parowe i lokomobile zasilano parą z 48 kotłów wmurowanych i 358 kotłów lokomobilowych o łącznej powierzchni ogrzewalnej 13.981 m² t. j. 1.150 m² większej niż w roku poprzednim.

W użyciu było 208 pomp ssąco-tłoczących, które przelewały ropę z podręcznych zbiorników do magazynów ropy.

Rurociągów na ropę było 269.384 m. t. j. 45.983 m. więcej niż w roku poprzednim, gazowych 78.313 m. t. j. 2.349 m. więcej

niż w roku minionym. Przewodów parowych było 54.413 m., wodnych 98.987 m. Rur do pompowania ropy było 280.107 m. t. j. 5.434 m.

Najwybitniejsze wśród rurociągów były 2 Tow. akcyj. Schodnica, które doprowadzały ropę na odległość 15 km. do stacyi kolei w Borysławiu, rurociąg Tow. akcyj. Galicya, doprowadzający ropę przez górską przełęcz: „Dział“ do fabryki ceresyny i rafineryi nafty w Drohobyczu. Rurociągi przedsiębiorstw „Nieuwe Niederlandische-Petroleum Maatschappy“ w Ropience i I. Ch. Perkinson w Wańkowej, przewodziły ropę na odległość 8 km. do stacyi kolei w Olszanicy. Oprócz tego były większe rurociągi galicyjskiego Tow. magazynowego, Tow. akcyj. „Petrolei“, Borysławskiego Tow. dla transportu ropy i firmy „Lewakowski i Spółka“, która doprowadzała ropę od różnych przedsiębiorstw z Borysławia, Tustanowic, Mrażnicy, Schodnicy do stacyi kolei w Borysławiu i do magazynów.

Do rurowania otworów wiertniczych użyto 1,036.248 m. rur walcowanych hermetycznych, t. j. 82.266 m. więcej niż w roku poprzednim, 142.604 m. zwyczajnych rur blaszanych, t. j. 16.528 m. więcej niż w roku poprzednim.

Zbiorników na ropę było 270 żelaznych o pojemności 336.818 m³, t. j. 36 zbiorników o pojemności 168.441 m³ więcej niż w roku poprzednim; 1.047 zbiorników drewnianych o pojemności 67.661 m³, t. j. 30.860 m³ mniej niż w roku poprzednim. Prócz tego istniała przy jednym wybuchowym otworze wiertniczym wykopana przykryta jama o pojemności 8 do 16 cystern do magazynowania ropy.

Na terenie ropnym galicyjskiego Karpackiego Tow. akcyj. w Borysławiu były 2 zbiorniki ziemne o pojemności 1.180 cystern, na terenie Borysławskiego Syndykatu 1 zbiornik o pojemności 900 cystern, na terenie firmy Perkins i Mac-Intosch-Perkins w Borysławiu i 3 zbiorniki ziemne o pojemności 450 cystern, na terenie tej samej firmy w Tustanowicach 1 zbiornik ziemny o pojemności 313 cystern. Po za obrębem terenów na stacyi ładunkowej w Borysławiu i w gminie Hubicze było 37 żelaznych, a 3 zbiorniki Tow. akcyj. „Petrole“ o pojemności 15.725 m³ czyli 1.331 cystern, 20 żelaznych zbiorników galicyjskiego Tow. akcyj. o pojemności 4.400 cystern, 10 żelaznych zbiorników galic. karpackiego akcyj. Tow. o pojemności 3.000 cystern, 3 zbiorniki Borysławskiego Tow. dla przewozu ropy o pojemności 1.200

cystern, 2 żelazne zbiorniki Towarzystwa Leon Mikucki i Karol Perutz o pojemności 800 cystern, 5 żelaznych zbiorników Tow. akcyj. dla przemysłu naftowego o pojemności 1.350 cystern, 5 żelaznych zbiorników Tow. akcyj. Schodnica o pojemności 1.500 cystern, 2 żelazne zbiorniki Tow. Urycz dla przemysłu naft. o pojemności 600 cystern, 1 żelazny zbiornik galic. Kasy Oszczędności o pojemności 350 cystern.

Do gromadzenia gazów ropnych służyło 149 zbiorników gazowych, (które nazwać by można szpichrzami gazowymi) o pojemności 812 m³. Z warstatów i kuźnic największe posiadało Tow. akcyj. dla przemysłu naftowego i Galic. Kasa Oszczędności, prócz tych: Tow. akcyj. „Schodnica“, Tow. akcyj. „Galicya“, Mikucki, Perutz i Sp., Tomasz Łaszcz w Borysławiu i w. i.

W okręgu Stanisławowskim było 177 otworów wiertniczych, z tych 15 pogłębiono, z 24 wydobywano ropę ręcznie, z 94 za pomocą pary, z 10 otworów wypływała sama, 34 otwory wiertnicze były nieczynne, 21 czasowo, 13 zupełnie zapuszczono.

W roku 1906 wywiercono w tym okręgu systemem kanadyjskim 4.158 m., wierceniem ręcznym 130 m. W użyciu było przytem 12 parowych maszyn wiertniczych o mocy 255 k. p., 1 motor gazowy o mocy 19 k. p., 2 maszyny wiertnicze poruszane ręcznie.

Do wydobywania i pompowania ropy używano 22 przyrządów ręcznych, 1 motor ropny o mocy 12 k. p., 13 maszyn parowych o mocy 134 k. p. Prócz tych było w użyciu 14 *pumprighs*. Wszystkie maszyny były zasilane przez 27 kotłów parowych o powierzchni ogrzewalnej 581 m².

Rurociągów było w użyciu: 28.444 m. żelaznych na ropę, 4.350 m. na gaz, 572 m. na parę, 3.380 m. na wodę. Rur do pompowania ropy było 37.598.

Do zarurowania tych otworów wiertniczych użyto 42.783 m. rur hermetycznych walcowanych, 9.960 m. zwyczajnych rur blaszanych o różnej średnicy. Zbiorników na ropę było 7 żelaznych o pojemności 2.301 m³, 163 drewnianych o pojemności 1.842 m³.

Prócz tego było w użyciu 18 zbiorników gazowych o pojemności 87 m³ i 9 o pojemności 76 m³.

Urządzeń elektrycznych było wogóle 5 z motorami parowymi o mocy 20 k. p. dla 161 świateł żarowych o sile światła 16 świec. Długość przewodów telefonicznych wynosiła 4.750 m.

Przy kopalniach ropy istniały 2 warstaty pędzone przez 2 maszyny parowe o mocy 18 k. p. Jedna z tych w Bitkowie z 3 tokarniami. 1 maszyna do walcowania blachy i 1 młotem. dalej w Pasiecznej: 2 tokarnie i 1 kamień szlifierski; procz tego 21 zwykłych kuźnic. każda z pojedynczem ogniskiem.

k. z.

(Dokończenie nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

Prenumerata wynosi: w cesarstwie austryackiem rocznie **8** K, półrocznie **4** K, ćwierćrocznie **2** K, w granicach Niemiec rocznie **3** talary, półrocznie $1^{1}/_{2}$ talara. którą prosimy nadsyłać (najdogodniej przekazem pocztowym) pod adresem: **Administracya „Gazety Lwowskiej“.**

Cena księgarska (główny skład w Galicyi w księgarni Gubrynowicza i Schmidta) za rocznik czyli 1 tom **10** K, za pół roku **5** K, za ćwierć roku **2**·K **50** h, za zeszyt **1** K.

Prenumeratorowie „Gazety Lwowskiej“, którzy uiszczą przedpłatę na „Gazetę“ z góry za cały rok (od 1 stycznia) lub za pół roku (od 1 stycznia lub od 1 lipca) otrzymają „Przewodnik“ bezpłatnie, zaś prenumeratorowie ćwierćroczni i miesięczni na żądanie za dopłatą pierwsi **1** K **50** h na kwartał, drudzy **60** h za zeszyt.
